RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK IX

Nr. IX

WRZESIEŃ NA WSI

Cena ogłoszeń zatekstowych: ¹⁄₁ str. — zł 700, ½ — zł 380, ¼ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/10 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	7 zł.	Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.	Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank.	Inne kraje	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3.50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 60 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA WRZESIEŃ 1935.



OFIAROWANIE N. M. P. W ŚWIĄTYNI

„ŚWIĘTOŚCI NIE SZARGAĆ"!

Stosunkiem, normą przez Boga wskazaną, człowieka do człowieka jest miłość. Stosunkiem, wskazanym i nakazanym mężczyzny do kobiety jest również miłość, wzmożona przez odrębność płci. Celem jej — rozradzanie rodzaju ludzkiego i coraz doskonalszy byt rodzinny i społeczny. Związkiem, sankcjonującym pożycie odrębnych płci wyłącznym i normalnym jest tylko małżeństwo.

Niema uchylenia, wyjątku w tem prawie Bożem, w tym nakazie i zakonie, spełnienie którego zapewnia człowiekowi szczęście wiekuiste, każde jego złamanie jest nieszczęściem, ciężkiem przewinieniem, poza którem stoi nieuchronna i najczęściej straszliwa kara.

Wszelkie inne wyjścia i ustosunkowania, wszelkie sofizmaty i obejścia prawa, trójkąty i wielokąty małżeńskie, wymyślone przez modną beletrystykę — to nie ogniska domowe, ale lupanarowe biwaki hord ludzkich, walczące z chrześcijańską cywilizacją. Rozbijając rodzinę, niszczą społeczeństwa, sieją anarchję i degenerację.

Wszelkie zaspakajanie instynktu płciowego poza związkiem małżeńskim jest anomalją, obłędną perwersją, prostytucją duchową i cielesną. Jest lichą namiastką, imitacją i karykaturą stosunków płciowych. Jest deprawacją ducha ludzkiego, jest jego największem wynaturzeniem.

Bo tylko współrytm i harmonja cielesnych i fizycznych zadowoleń z celowością przedłużenia swego bytu w potomstwie daje podstawy do szczęścia i trwałej pogody ducha. Zaś stosunek płciowy z człowiekiem upadłym, kupczącym ciałem i duchem, obniża duchowo człowieka, zakaża duchowo i cieleśnie, upadla i hańbi.

Jak strasznem wynaturzeniem, zbrodnią, popełnianą na duszy własnej i cudzej jest prostytucyjny stosunek płciowy! Jest przytem bezmyślnem, bezcelowem szafowaniem zasobów ducha i ciała, zarodzią przyszłych pokoleń. Jest korzystaniem z cudzej nędzy duchowej i materjalnej, z cudzego niedorozwoju, czy przymusowego upodlenia. Jest mięszaniem krwi czystej często z zakażoną, mięszaniem szlachetnych i nieraz z trudem zdobytych wyższych pierwiastków ducha z brudem duchowym zdegenerowanych i zbrodniczych istot.

Prostytucja jest antyrodzinną, antyspołeczną i antypaństwową instytucją. Zarówno wchodzący w związek z prostytutką, zamiast podnieść ją z błota, daje jej nowe upodlenie. Stwierdza i podtrzymuje cynicznie hańbę i umacnia ją w plugawem, zbrodniczem powołaniu.

Niepoliczony korowód upodleń i udręczeń idzie śladem tego stosunku: zbrodnia, kradzież i defraudacja i koszmarne choroby, zabijające zdolność rozrodczą, powodujące gnicie ciała i obłęd nieuleczalny. A także strasznym jest stan ducha przy takim występku: zamęt, wyrzuty sumienia, strach, wstyd, rozpacz, prostracja, zanik woli!

Większość wchodzących w ten ogród udręczeń w przybliżeniu nie zdaje sobie sprawy z jego okropności i ohydy. Nawet instynkt samozachowawczy działa na nich słabo.

Potrzebna im jest więc czynna interwencja ludzi uświadomionych. Jaknajczęściej powinne poruszać tę sprawę czasopisma. Ludzie odznaczający się w tępieniu nierządu, powinni być odznaczani, nagradzani, powinno się ich honorować, dawać im środki do dalszej walki! Niech zginą w pismach rubryki stręczeń do nierządu pod pokrywką stręczenia małżeństw. Niech znikną lubieżne i szczegółowe opisy kryminalne upadków i zniewoleń. Niech zginie pornograficzna powieść, rysunek, malowidło, przedstawienia teatralne, film.

Trzeba rozrzucać setki tysięcy broszur uświadamiających, rozrzucać odezwy w lokalach publicznych, stowarzyszeniach, bodaj na ulicach. Bo bić trzeba na alarm i trwogę, jak przy najściu śmiertelnego wroga, jak podczas wybuchu dżumy i zarazy, trądu.

Prostytucja roznosi jady wśród społeczeństwa, szerzy zarazę fizyczną i duchową często świadomie. Uprawiający je, jako niebezpieczni dla otoczenia, powinni ulegać izolacji i karze. Trzeba znieść reglamentowaną prostytucję. Trzeba wnieść odpowiednie wnioski do ciał ustawodawczych.

Prostytucja pogłębia kryzys i jest jego największym czynnikiem. Rozpusta czyni człowieka zatwardziałym na cudzą niedolę, powoduje wyzysk pracowników, oszustwa, kradzieże i defraudacje, których ilość i różnorodność, przedtem nieznana, rośnie z dnia na dzień.

Wydajmy walkę hańbie wieku na życie i śmierć. Jeżeli, jakże często, gwałcicieli praw Bożych nie karze prawo ludzkie, to niech ich karze społeczeństwo! Zaprzestańmy uprawiać wyrozumiałość i tolerancję tam, gdzie trzeba piętnować.

Nie dopuszczajmy drwinek, swawoli, cynizmu tam, gdzie się kala nasze ogniska i ołtarze. Jeżeli nie możemy zgnieść czynem występku, zgniećmy go słowem, gestem, tonem duszy i ciała.

Walczmy o każdej porze dnia, przy każdej okoliczności, odgródźmy siebie i dzieci nasze od hord ulicznych deprawatorów, cyników, sutenerów, sprzedawców swego i cudzego honoru.

Włóżmy na siebie przepaski, czy emblematy czynnych, jawnych bojowników armji wyzwolenia.

Prostytucja jest wrogiem śmiertelnym narodu i państwa. Żadna armja, zaopatrzona w najlepsze aparaty nowoczesne, nie obroni narodu, jeżeli go będzie rozkładać jad prostytucji. Najpewniejszym zwycięzcą jest duch armji. Rozpustny żołnierz, przeżarty chorobą duszy i ciała, jest na wojnie pozycją często ujemną, zawadą, tchórzem, szpiegiem. Rozpustnikowi wszystko jedno, jaki rząd rządzi, byle mu zapewniał środki zadowolenia żądz. Jakże często widzimy tego przykłady u nas w czasie rozbiorów.

Bierność, paljatywy, dowcipkowanie z niebezpieczeństwa może nas tylko dobić.

Musimy przejść do ofenzywy, entuzjazmu, fanatyzmu, mocy ducha dawnych rycerzy kresowych, czy też — krzyżowych.

Bądźmi czujni nawet w drobiazgach. Okopmy się w zdobytych fortach, budujmy twierdze ducha niezdobyte. Deprawację, którą nam wniosły wieki upadku, którą umocniła wielka wojna, pokonamy środkami heroicznemi, a nie — homeopatycznemi. Nie trzeba nam krzyku, trzeba nam mocy ducha Bożego. Wiara, zespół, wiedza, energja wyzwoli z pozostałej okupacji rozpusty. One dadzą nam nietylko wyzwoloną politycznie, ale i moralnie — ojczyznę...

Świętości nie szargać...
Rodziny, społeczeństwa, państwa,
Kościoła nie szargać...
Bo trza, żeby święte były!



Ołtarz w prywatnej kaplicy Ojca św. w Castelgandolfo z kopją obrazu M. B. Częstochowskiej nad mensą i śmiercią ks. Skorupki J. H. Rosena na bocznej ścianie.

POLACY W NIEMCZECH A SPOŁECZEŃSTWO

Stosunek nas, społeczeństwa wolnej i wielkiej Ojczyzny, do zagadnienia polskiego w Niemczech, to jeden wielki rachunek grzechów, zaniedbań, przeoczeń.

Niejednokrotnie mówimy o znaczeniu zagadnienia polskiego w Niemczech. Niejednokrotnie podkreślamy żywe więzy uczuciowego stosunku, łączące nas z tą grupą rozproszonej po świecie części Narodu, która przecież nietylko geograficznie jest nam najbliższa.

A jednak jakże dalecy jesteśmy od otoczenia tej półtoramiljonowej rzeszy ludności opieką i pomocą, odpowiednią do potrzeb. Jakże dalecy jesteśmy od dostatecznej nawet znajomości istotnych warunków życia tej dwudziestej części całego naszego Narodu.

Ludność polska w Niemczech żyła zawsze w warunkach ciężkich. Jednakże przed wojną dzieliła ona dolę i niedolę z wielkim odłamem Narodu, z całą ludnością dawnego zaboru pruskiego. Odbudowanie Państwa przyniosło za sobą pogorszenie losu tej części, która pozostała poza jego granicami. To, co dla całego Narodu było zjednoczeniem, dla Polaków, pozostałych w granicach Rzeszy, było jakgdyby nowym rozbiorem, było oddarciem ich od silniejszych ekonomicznie i politycznie terenów dawnego zaboru pruskiego, przy pozostawieniu dawnych warunków ucisku narodowego, przy utrzymaniu metod prowadzonej wszelkiemi siłami i środkami germanizacji.

Sytuacja ludności polskiej w Niemczech pod rządami Republiki Wejmarskiej była niezmiernie ciężka. Dochodząca do granic najbrutalniejszego cynizmu rozpiętość pomiędzy hasłami, głoszonemi przez Konstytucję Wejmarską, a rzeczywistością życia wszystkich mniejszości w Niemczech, przedewszystkiem zaś najliczniejszej i najsilniejszej mniejszości polskiej, niejednokrotnie była przedstawiana w prasie i publicystyce polskiej. Z liberalnemi postanowieniami Konstytucji, przeznaczonemi na użytek Genewy, nie liczono się w stopniu najmniejszym. Konstytucja przewidywała prawa poszczególnych grup narodowych do własnego języka w szkole, w sądzie, w urzędzie, w kościele — rzeczywistość tymczasem wyglądała w ten sposób, że sądy karały więzieniem za propagowanie szkoły polskiej, że przestępstwa przeciwko ludności polskiej uchodziły bezkarnie, że ludność ta była często wyjęta spod prawnej ochrony, a każdy przejaw życia polskiego prześladowany z całą stanowczością i bezwzględnością.

Przewrót hitlerowski przyniósł początkowo dalsze zaostrzenie sytuacji ludności polskiej, wzmożenie liczby aktów bezkarnego i krwawego terroru, następnie jednak dał pewne odprężenie. Dzisiaj stan faktyczny jest nie-

co lepszy, niżeli był za czasów liberalnej republiki. Jednakże nie trzeba przeceniać znaczenia tej zmiany. Trzeba pamiętać, że równocześnie prowadzona jest w dalszym ciągu mniej lub więcej jawna walka ze szkołą polską i instytucjami polskiemi, że równocześnie ludność polska w Niemczech pozbawiona została możności korzystania z szeregu podstawowych praw obywatelskich, gdyż obecny ustrój Rzeszy prawa te w wielkiej mierze rezerwuje dla obozu narodowo-socjalistycznego, jako dla jedynej, uprawnionej do oddziaływania na bieg spraw w Rzeszy, grupy politycznej wewnątrz Niemiec.

Stan faktyczny położenia ludności polskiej w Niemczech może ulegać pewnym wahaniom na lepsze, czy na gorsze, podobnie jak ulegał tym wahaniom w ciągu całego okresu, dzielącego nas od czasów wielkiej wojny. Jednakże nie można się łudzić w najmniejszej mierze, by nawet w najlepszych okresach państwo pruskie chciało w stosunku do Polaków w Niemczech wypełniać obowiązki, wynikające z troski o normalny rozwój podstawowych placówek kulturalnych i narodowych tej ludności. Nie będziemy powtarzali tutaj liczb, przytaczanych w najrozmaitszej formie we wszelkich opracowaniach. Wystarczy podkreślić, iż troskę o zaspokojenie potrzeb szkolnych dwustu tysięcy dzieci polskich przejawia państwo pruskie w jednej tylko formie, to jest w postaci utrzymania 9-ciu publicznych szkół państwowych, do których uczęszcza 115 dzieci, a więc o wiele mniej, niżeli 1 dziecko na 1.000 dzieci polskich.

Nie trzeba się łudzić. Potrzeby narodowe ludności polskiej w Niemczech nigdy, przy najlepszych nawet stosunkach pomiędzy Polską a Niemcami, nie będą zaspokojone przez państwo pruskie. A ponieważ ludność polska w Niemczech należy wyłącznie niemal do warstw ubogich, niezdolnych do wydobycia dostatecznych środków materjalnych na opędzenie potrzeb własnych placówek kulturalnych, stąd też obowiązek dostarczenia tych środków spada wielkim, lecz ważnym ciężarem na społeczeństwo polskie w kraju.

W jaki sposób to społeczeństwo wywiązuje się ze swego obowiązku? Niestety, odpowiedź na powyższe pytanie nie może być przedmiotem zadowolenia i dumy. Dość powiedzieć, że nawet przy uwzględnieniu całej sieci prywatnego szkolnictwa polskiego w Niemczech, jeszcze nie więcej, jak 1% dzieci polskich w Niemczech korzysta z nauki w szkole polskiej, zaledwie około 3% dzieci rodziców Polaków uczy się w szkole, czy na kursach, języka polskiego. 97% dzieci pozostaje poza jakąkolwiek możliwością zorganizowanej nauki języka, a więc poza możliwością nauczenia się czytania i pisania po polsku.

Liczby powyższe stanowią żywy wyrzut sumienia dla społeczeństwa polskiego w kraju. Lecz nie wyczerpują one długiej litanji niezaspokojonych potrzeb oświatowych i kulturalnych polskiej ludności w Niemczech.

Niezaspokojone należycie potrzeby szkolne byłyby dla przyszłości ludu polskiego w Niemczech mniej groźne, gdyby istniały w należyty sposób zorganizowane i rozmieszczone pomocnicze ośrodki pracy kulturalno-oświatowej i społecznej, a więc świetlice, bibljoteki, zespoły śpiewacze, zespoły przysposobienia rolniczego, wypożyczalnie czasopism etc.

Jak więc przedstawia się stan zaspokojenia potrzeb ludności polskiej w tej dziedzinie?

I znów odpowiedź może być bardzo zdecydowana, niepozostawiająca miejsca na złudzenia i wątpliwości. *W dziedzinie oświaty pozaszkolnej, podobnie jak w dziedzinie szkolnictwa i nauki języka polskiego, stan zaspokojenia potrzeb kulturalnych ludności polskiej w Niemczech jest nietylko niewystarczający, lecz wprost uderzająco nikły.* Dotyczy to wszystkich wymienionych powyżej działów pracy. *Sieć świetlic niewystarczająca,* stan ich zaopatrzenia więcej, niż skromny, pomieszczenia niedostateczne. *Nie lepiej przedstawia się sprawa bibljotek.* W nielicznych tylko miejscowościach istnieją bibljoteki stałe, liczące po kilkaset książek. *Ogromna większość ludności polskiej jest całkowicie pozbawiona możności korzystania z racjonalnie dobranej i wartościowej książki polskiej.* Podobnie przedstawia się sprawa pomocy dla racjonalnie postawionej pracy *zespołów śpiewaczych, czy zespołów przysposobienia rolniczego.* Brak instrumentów muzycznych, brak nut, brak odpowiednio przygotowanych instruktorów, uniemożliwia racjonalnie powadzoną pracę.

Przytoczone tu liczby i fakty stanowią prawdę wysoce nieprzyjemną, prawdę, o której najwygodniej, najprzyjemniej, byłoby zapomnieć, nie myśleć.

Lecz właśnie dlatego, że prawda ta jest tak przykra, że mówi ona jaśniej, niżeli jakiekolwiek słowne określenie, o wspomnianem na wstępie zaniedbaniu podstawowego naszego obowiązku w stosunku do ludności polskiej w Niemczech, dlatego zapomnieć o niej nie wolno.

Przeciwnie, musi ona być bezustannie w pamięci każdego Polaka. Tylko przez należyte uświadomienie sobie istotnego stanu rzeczy można dojść do naprawienia zaniedbań. Nie trzeba, by przypomniała nam o nich dopiero historja, ta „korektorka wieczna“, czujna, uważna, lecz, niestety, w korekcie swej zawsze spóźniona, nie zostawiająca czasu na naprawienie błędów.

Bolesław Srocki.

WE WRZEŚNIU

Słońce, żegnając lato,
ciepłe blaski ciska.
Złocą się puste rżyska,
brzoza kapie złotem.
Wiatr błądzi po ugorach
i po kartofliskach,
rozdmuchując ogniska
pod nieba namiotem.

Ociężały sad drzemie
i szumi ospale...
Smukłe malwy wytrwale
cisną się pod strzechy.
Pląsze się babie lato,
lśnią głogu korale,
błękitne nieba dale
idą rzewne uśmiechy...

Alina Kwiecińska.

JÓZEFKA

Na zmęczonych nogach,
co spuchły i bolą —
Idzie naprzód w życie
ze swoją niedolą.
W darowanych butach
zimę przebieduje,
Na wiosnę poprawy
znowu wyczekuje.
Panu Bogu dzięka
że — co rok — to samo.
Jest praca w ogrodzie:
po Józię posłano.
Kwiaty opleć trzeba,
poprzesadzać flance:
Lgną do mokrej ziemi
pogrubiałe palce.

Pachną w Zamojszczyźnie
dojrzałe jagody...
Panu Bogu dzięka
za tyle pogody.
Jagód się uzbiera
w koszyk co — niemiara
I ode drzwi do drzwi
pójdzie jagodziara.
Wyrastają grzyby
w mchu wilgotnym, w lesie.
„Niechno się tam
postara, przyniesie!”
Rada jest Józefka,
choć ją kluje w boku —
Pan Bóg da doczekać
do przyszłego roku!

Maryla Witkowska.

TĘSKNOTA ZA ZAŚCIANKIEM

Bronzowa Eliza Orzeszkowa na Zerychowskim pomniku w Grodnie błyszczy jednakowo spokojnie w zachodzącem słońcu i w deszczu. Nie ma rąk do odporu; w pogodę i w niepogodę biernie trwa. Jest symbolem uosobionej Wytrwałości. Gdy w szlachetnych uproszczeniach płaszczyzn rzeźbił Zerych niedzisiejszą postać, nie myślał o symbolu. Stało się to poza nim, ale najzupełniej słusznie: bo apostolstwo wytrwania — to najzwięźlej streszczone życie i dzieło Orzeszkowej.

„Nie ulega żadnej dyskusji, że twórczość Orzeszkowej różni się poprostu kontrastowo z nastawieniem psychicznem współczesnego czytelnika." To sąd Hanny Huszcza-Winnickiej z roku odsłonięcia pomnika (20 październ. 1929 r.). Mieści się w nim sporo racji, ponieważ istotnie, dziś — w dwudziestopięciolecie śmierci Orzeszkowej inaczej już na nią patrzymy. Zasadniczym powodem rozbieżności w spojrzeniu — to odzyskanie niepodległości. Pokolenie, korzystające z rezultatów prac pokolenia walczącego, niezawsze chce ocenić jego wysiłek, a jednak trzeba to zrobić i skontrolować, ile z twórczego przed laty materjału zachowało swą wartość dodziś. Najprostsza uczciwość w stosunku do Orzeszkowej wymaga takiego rozważenia.

Orzeszkowa należy do ludzi kresowych. Urodzona w Grodnie, które przed wiekami „dla przyczyny mnóstwa tam rosnących ogrodów, po rusińsku Horodnem zwano" („Nad Niemnem"), w Grodnie w drewnianym, brzydkim domu, który przyległ całym frontem do ulicy, napisała wszystkie niemal swe dzieła, co dziś nawet japońskiemi znakami przemawiają do czytelników innych barwą skóry i wyglądem. W Grodnie w majowy dzień, gdy kwitło biało-różowe morze sadu, zamknęła oczy — syta widoku, którego tak sobie życzyła jesienną chorobą. Pochodzenie i życie nad Niemnem wyciskało piętno — zwłaszcza w latach największego ucisku rusyfikatorskiego. Grodno z całą swą okolicą, z ludźmi którzy w niem żyli, z domami które rozsypywały się i wznosiły — właśnie Grodno ukształtowało Orzeszkową taką, jaką była. Wprawdzie parę lat — jako Elżunia Pawłowska — spędziła na nauce u warszawskich Sakramentek, ale i tu przez te lata, w które nie było jej danem powracać na Litwę nawet na święta, ta daleka ziemia dzieciństwa stróżowała przy niej w osobie starej klucznicy, co ją do Warszawy przywiozła. Warszawa była miejscem narodzin talentu literackiego. Już u Sakramentek — świadczy jakaś H. A. — „wypracowania Elizy Pawłowskiej czytane były zwykle głośno przez nią samą lub którą z lepszych uczennic, a słuchano ich z zapartym oddechem, tak z kartek zeszytu płynął wiew wielkiej przyszłości!" Pisarka narodziła się naprawdę dopiero nad Niemnem.



Popiersie Orzeszkowej z pomnika w Grodnie

„Drobna, nerwowa, wątła dziewczynka" (H. A.) zaledwie wyrósłszy, została żoną „wysokiego, majestatycznego blondyna o niebieskich oczach, typowego Litwina" — Piotra Orzeszki, niestety „pożycie z nim najszlachetniejszej, wybujałej inteligencją kobiety nie było — według świadectwa Karoliny Gerliczowej — szczęśliwe." Jednak tragedja osobista nie odegrała zasadniczej roli w kształtowaniu się dzieła pisarskiego Orzeszkowej. Rozwija się ono w cieniu wypadków, które niósł za sobą rok 1863 w postaci skutków gospodarczych przedewszystkiem dla średniej sfery ziemiańskiej. Ludwik Fryde, przedstawiając „Orzeszkową wobec prądów epoki", stwierdza, że w jej dziełach „przeważają problemy, wiążące się z położeniem średniej szlachty w nowym układzie warunków społecznych, i hasła, prowadzące do ustabilizowania się tej warstwy w zmienionych warunkach bytu". Los zubożonego posunięciami uwłaszczeniowemi ziemiaństwa — obok losu kobiety wogóle — to dla Orzeszkowej zagadnienie najistotniejsze, próbuje propagować przejście tej sfery do miast, ale wreszcie staje bezradna wobec zjawiska i „do końca życia pozostała wierna idei przywiązania do ziemi — jako jedynej drogi wyjścia ze społecznego i umysłowego chaosu nowych czasów" (Fryde). W takich warunkach ideałem dla niej jest nie ekspansja, nie agresywne zdobywanie nowych placówek, ale trwanie żeby przetrwać, chociażby kosztem największych poświęceń i wyrzeczeń.

Dziś — gdy ideałem staje się Polak agresywny, zdobywający świat przynajmniej gospodarczo — w okresie tęsknot za mocarstwowością ideał Orzeszkowej pachnie zaściankiem. Niema Orzeszkowa dobrego słowa dla tego imponującego polskiego **Drang nach Osten** — w szeregi rosyjskiego mieszczaństwa i zawodów wolnych całej olbrzymiej Rosji, raczej to potępiała, bo za najważniejsze uważała w swem kobiecem rozumieniu utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania — w zaścianku. Przed wielkiem miastem Orzeszkowa czuje lęk i dlatego najchętniej pragnęłaby umieścić wszystkich w jakichś idealnych zaściankach — niby rozrodzoną rodzinę Jana i Cecylji z „Nad Niemnem". W głębi puszczy para ta z dziećmi i wnukami wznosi osadę taką, że gdy młody Zygmunt August stanął wobec niej, widzi: „Sto domów, podzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się wpodłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotych dymów podnosiło się prosto do nieba." To tylko w fantazji pisarskiej istnieć może taki zakątek, naprawdę bowiem trudno sobie wyobrazić takie wielkie skupisko, żyjące samo dla siebie: choćby unikało świata, światby je odnalazł.

(Dokończenie na str. 262).

WSPOMNIENIA Z WOJNY ROKU 1920

Miasteczko Krasiłów, położone blisko galicyjskiej granicy niedaleko miasta Płoskirowa na Ukrainie, było własnością polskiej rodziny z tych panków burakowych, królewiąt pszennego Podola. W czasach przewrotów miasteczko to przeżywało różne władze, a zamieszkiwali tam przeważnie Polacy, urzędnicy przy fabryce cukrowej. Okazały dwór stał prawie pusty, bo zbiegła z niego rodzina właścicieli, zostawiając służbę pod opieką starej klucznicy, gospodyni i niemłodego już burgrabiego. Na nich też spadła odpowiedzialność i troska o ochronkę dla sierot, których była dość pokaźna liczba płci obojga. Za parkiem pałacowym, na górze, otoczony drzewami, wznosił się piękny kościołek, a tuż obok niewielka plebanja, z dużym owocowym sadem. — Proboszczem był wtenczas ks. Mazur, człowiek młody, miły, mądry, wielki patrjota-entuzjasta i Polak.

Już dwie doby z rzędu grzmią działa, turkot kulomiotów i gęste strzały karabinowe. Bolszewicy następują, wypierając coraz słabsze, po części zdezorganizowane wojska petlurowców. Rozbili pancerny pociąg, który szedł od Kamieńca. Wykolejony parowóz i dziesięć wagonów dogorywało na torze pod Krasiłowem. Przerażeni mieszkańcy kryli się po piwnicach i zmęczeni, wyczekiwali już bylejakiego końca, niech się dzieje wola Boża, — aby tylko przestali strzelać. W pięknym domu przy szosie mieszkał doktór fabryczny z żoną i rodziną, trojgiem dorastających dzieci i starą matką. — Było lato Na wakacje pozjeżdżały się dzieci doktorostwa, studentka z Kijowa, najstarsza, i dwoje młodszych ze szkoły w Winnicy, syn i córka 14 i 16 lat. Słońce zaszło, tylko różowe chmurki na zachodzie paliły się krwawym refleksem. — Na tarasie kończono pośpiesznie podwieczorek, już bowiem od dwóch godzin nie strzelano. — Przygnębieni, smutni, zmiatali szybko kwaśne mleko z kartoflami, gdy w drzwiach ukazała się służąca Marysia, zawiadamiając, że siczowi strzelcy przynieśli rannego strzelca i proszą doktora o opatrunek. Doktór natychmiast wstał od stołu, udając się do gabinetu, gdzie na środku na noszach trzymali żołnierze swego konającego dowódcę. Chłopak był młody, bez zarostu jeszcze, wielkiej urody i delikatny jak panna. Gdy się doktór nachylił nad nim, szukając rany, młodzieniec, blady jak chusta, otworzył powoli przejrzyste, szafirowe oczy i ręką dał znak, by wszyscy, co go otaczali, oddalili się. Najczystszą polszczyzną odezwał się po chwili, gdy zostali sami: „Doktorze! nic mi już nie pomoże, umieram! bo cały jestem poraniony od kul z przeklętego bolszewickiego kulomiotu, schowanego na moście, którym bezpiecznie przejeżdżałem. Nie idzie o to, bym żył, bo niemożliwe, ale proszę sprowadzić mi księdza katolickiego, by mnie dysponował na śmierć, i chcę, by polska dziewczyna zakryła mi oczy. Jestem lwowianin, student politechniki z ojca rusina-unity, a z matki Polki, chcę też mej narzeczonej i rodzinie przesłać ostatnie pożegnanie, dlatego proszę o papier i ołówek. — Tymczasem, nie zwracając uwagi na te słowa ranionego, doktór zbadał go. — „Rzeczywiście! siedem ran postrzałowych w brzuch i piersi. Trudno z tego wyjść cało" — myśli doktór, nadzwyczajna tylko siła nerwów trzymała przy zmysłach nieszczęśnika. Zawoławszy więc starszą córkę Zosię, kazał jej wysłać natychmiast służącą po księdza. Najwyżej za kwadrans zjawił się ksiądz z P. Bogiem. Spowiedź trwała krótko. Umierający przyjął Przen. Sakrament, a nie puszczając ręki młodej dziewczyny, stojącej mężnie przy nim w czasie najcięższej agonji, życie zakończył. Gdy zesztywniał, zakryła mu te przepiękne słowiańskie, turkusowe oczy, padając na kolana z gorącą modlitwą o spokój duszy biednego

Nazajutrz, po nocy stosunkowo cichej, bez nadzwyczajnej strzelaniny, siczowi strzelcy petlurowscy, w których rękach znajdowało się jeszcze miasto Krasiłów, pochowali swego młodego dowódcę na miejscowym katolickim cmentarzu z wielką paradą, muzyką i wojskowemi honorami. W pogrzebie wziął udział doktór z rodziną, a ksiądz Mazur wygłosił nad grobem piękną przemowę po ukraińsku. Przeszedł jeszcze tydzień wojennych zmagań się petlurowców z bolszewikami, otaczającymi miasto przeważającemi siłami. Sympatja miejscowej ludności, a głównie pomoc urzędników fabrycznych, różnych majstrów i robociarzy, wspierała dzielnie nikłą garść ukraińskich bohaterów i możeby udało się odeprzeć te krwawe hordy zupeł-

---

(Dokończenie: **„Tęsknota za zaściankiem"**).

Jeśli „idylliczny świat ostatnich powieści Orzeszkowej — świat oderwanych od szerokiego traktu wiosek, żyjących cicho i zbożnie, jest światem zupełnie fikcyjnym" (Fryde), to dlatego tylko, że Orzeszkowa nie była malarką rzeczywistości, a rzucała wzór do realizacji, gdyż „tworząc, pragnęła zawsze — zdaniem Zofji Nałkowskiej — na życie oddziałać, pragnęła tę rzeczywistość polską na miarę swych ukochań dźwigać, kształtować i doskonalić".

Życie nie realizowało wzorów, kreślonych z takiem ukochaniem. Orzeszkowa była bezradna wobec szaleńczo zachodzących zmian, nie we wszystkiem mogła oddziaływać jeszcze za życia, tembardziej więc ta właśnie strona jej dzieła nie odegra roli twórczej dziś, pozostanie zato na stronach swych książek i n n a O r z e s z k o w a — w i e c z n i e m ł o d a i p o n a d c z a s o w a: d o b r a, w y r o z u m i a ł a, n a j t k l i w s z a k o b i e t a, p r a g n ą c a w s z y s t k i c h p o c i e s z y ć, w s z y s t k i c h z r o z u m i e ć — j a k m a t k a. Orzeszkowa p r z e s t a ł a b y ć n a u c z y c i e l k ą s p o ł e c z e ń s t w a p o l s k i e g o — s t a j e s i ę n a u c z y c i e l k ą c z ł o w i e k a, i to ją stawia na jednym poziomie z pisarzami skandynawskimi. „Najlepszym synem ojczyzny swojej jest człowiek najlepszy" — wyczytała kiedyś w osobistym notatniku Orzeszkowej Lucyna Kotarbińska. Niech to własne jej zdanie, gdzie zagadnienie narodowe rzutuje na tło ogólnoludzkie, będzie usprawiedliwieniem degradacji „społecznej" Orzeszkowej. Tęskniła za zaściankiem, ale marzenia te nie przesłaniały jej prawdy o człowieku i dlatego choć się napozór wydaje inaczej, spod niwelującego wszystko kroku czasu Orzeszkowa wychodzi ręką obronną.

ZIN HUDEK

Skauci z różnych stron świata słuchają polskiej pieśni harcerskiej



nie, gdyby nie zdrada miejscowych żydów, darzących swą życzliwością i opieką obiecujących im raj, czerwonych zbójów. Oni to pewnej nocy, ciemnej i burzliwej, przeprowadzili i przechowali w swoich domach na rynku duży oddział czerwono-armiejców, którzy dobrze uzbrojeni w kulomioty, z pomocą żydowską, szybko opanowali najodpowiedniejsze punkty tak miasta jak i fabryki i w parę godzin później zaczęli straszliwą rzeź wśród cofającej się garstki ukraińskiego wojska. — Nazajutrz, wywiesiwszy czerwony sztandar na najokazalszym z żydowskich domów na rynku, zabrali się do właściwych sobie złodziejskich porządków, komendant bolszewicki wraz ze sforą młodych żydków, wykwalifikowanych przez niego na komisarzy. Rekwirowano wszystko co się dało u ludności chrześcijańskiej. Sztab ulokował się w pięknym pałacu, wśród ogromnego parku, a reszta tych szakali wdzierała się przemocą do urzędniczych fabrycznych mieszkań, teroryzując strasznie wszystkich bez wyjątku, kobiety i dzieci. — „Wojskowy komendant pozwolił 3 dni swoim armiejcom pohulać"! — z tą wieścią straszliwą powrócił doktór z miejscowego szpitala, gdzie cały dzień opatrywał z obu stron ranionych żołnierzy.

W cichym, białym domku nad szosą zapanowało wielkie przerażenie. Matka staruszka padła na kolana przed domowym ołtarzykiem, pogrążając się cała w gorącej modlitwie. Doktorowa wraz z dziećmi, bladzi z przerażenia, poszli po obejściu poszukać kąta, gdzieby się można było ukryć przed tymi okropnymi czerwonymi zbirami, którzy ich napewno nie ominą. Po długich poszukiwaniach i namyśle, zdecydowała się wreszcie biedna matka schować swoje dzieci w opuszczonej starej lodowni na końcu ogrodu. — Zaraz przynieśli tam świeżej słomy i zapas pożywienia i młodzież zainstalowała się tam, niewiadomo na jak długo. Wprawdzie malec 14-letni chciał z bronią w ręku zostać przy rodzicach, ale mu wmówiono, że jako rycerz-obrońca musi zostać przy siostrach. Nadeszła noc, trzecia z rzędu po zajęciu Krasiłowa przez bolszewików. Potwory te latały po całym mieście, łowiąc i gromadząc łupy. Jakaś banda wpadła do ochrony. Dzieciaki przestraszone, powylatywały przez okna parterowego domu do księżowskiego sadu i pochowały się pod krzakami. Kilka mniejszych dziewczynek zabrał ks. Mazur do siebie na plebanję i tam je schował przed prześladowcami, rozbieganymi za starszemi dziewuszkami, które im się wyrywały z płaczem i krzykiem. Nie wytrzymał biedny ksiądz takiego widoku i gdy jeden z przeklętych komisarzy wskoczył na werendę w pogoni za czarnobrewą, piętnastoletnią sierotką, ksiądz, jako kapłan, wezwał go do porządku i zwymyślał. Zwierz cofnął się od niespodziewanych słów doraźnych, co go smagały jak biczem. Korzystając z tej chwili, dziewczyna umknęła mu przez parkan na ulicę. Zgrzytnął zębami — i bez słowa oddalił się, wygrażając księdzu pięścią.

W skupieniu i ciszy siedzieli doktorostwo przy stole jadalnym, gdy o godz. 10-tej wieczorem wbiegła Marysia ze słowami: „Przyszli ci zbóje już i do nas, wcisnęli się do kuchni i obstawili strażą cały dom. Pana K., sąsiada, już stawiali pod ścianą, lecz żona wyprosiła i zostawili go w spokoju". Na te słowa poczciwej służącej, bladej od strachu, powstali wszyscy od stołu, rozdygotani z przerażenia, tylko staruszka spokojnie przeszła do swego pokoju, gdzie przyklęknąwszy przed obrazem Bogarodzicy, zaczęła się żarliwie modlić. — Doktór, słysząc, że cała banda z komisarzem na czele jest już w przedpokoju, uściskał słaniającą się żonę i wyszedł do nich. Na jego widok aż zawyła niesforna zgraja. Brutalnie przyskoczył do niego ów komisarz o wybitnym semickim nosie, o małych, jarzących oczach, a chwytając doktora za klapy marynarki, natarczywie pytał, gdzie ukrył pieniądze i kosztowności. Wreszcie zakrzyczał „ręce w górę!" Obszukano mu kieszenie, zabrano klucze od biurka, zegarek i brutalnie zerwano z palców herbowy sygnet i ślubną obrączkę. Gdy szli otwierać szuflady po biurkach i komodach, natknęli się na bladą, struchlałą doktorową, wsuniętą w jakiś ciemny kąt. Jeden z młodszych zbirów schwycił ją za ręce i ściągając pierścionki z palców, aż stawy trzeszczały, ryczał: „skaży kuda popriatała doczki", „gowori siej czas kuda dieła mołodych?" „Dzieci moje wyjechały" — krzyknęła nieszczęśliwa matka. „Pasmotrim".

Rewizja trwała ze dwie godziny, aż wkońcu, już nad ranem, krwawi bandyci znaleźli starą lodownię z pomocą psa wyżła, bardzo przywiązanego do dzieci. Bili starego Lorda, znęcali się, aż skatowane psisko ze skowytem, instynktownie zaczęło szukać swego młode-

go pana i obrońcę. Przemyślny armiejec poszedł w ślad za nim aż na krańce ogrodu do starej lodowni, gdzie pies zaczął wyć, szczekać i drapać drzwi. Z łoskotem i urąganiem wyłamano owe drzwi i wywleczono biedną, struchlałą trójkę. Gdy dzieci zobaczyły skatowanych rodziców i starą babkę, bieluśką jak opłatek, siedzącą prosto jak struna przy stole i patrzącą dumnie czarnemi oczami na obrzydłych zbójów, zaniosły się rzewnym płaczem; ale wnet umilkły na dany znak przez babkę.

„Stawit' pod stienku", ryknął rozwścieczony komisarz. — „Poguliajtie rebiata!" — i tam w jadalni, naprzeciw siedzącej staruszki ustawiono rzędem dwie młode dziewczyny, a wśród nich najmłodszego malca.

„Dzieci moje, Witek", wrzasnęła na ten widok zrozpaczona matka i zemdlona, runęła na podłogę. Doktór przykląkł nad żoną, nacierając wraz z Marcyną skronie i cucąc ją z głębokiego omdlenia. Babka zaś w dalszym ciągu ani drgnęła, tylko blada, z piorunami w dumnych oczach, patrzyła z odrazą i pogardą na wściekającą się podłą bandę, a taka siła biła z tych oczu, aż kurczył się i pienił ze złości, dogadując i klnąc żyd-bolszewik. Wreszcie, dla większej satysfakcji rozbestwionych bolszewików, kazał najsprawniejszym krasnoarmiejcom kłaść na wyprostowanej srebrnej głowie staruszki karabin i strzelać do celu między cudnemi, młodemi głowami ukochanych wnucząt. Kule grzęzły w ścianie. Za każdym wystrzałem sprawdzano, gdzie się pod kulą sypał tynk, a Babka srogo patrzyła na młodych, co jak zahypnotyzowani, ani drgnęli. — Doktorowa w jakiejś chwili ocknęła się z omdlenia i zerwawszy się jak raniona lwica, stanęła między Babką a dziećmi, na głowie której legł znowu nowy karabin. — W tej chwili rozległ się głuchy łoskot armatniego strzału. Cała horda osłupiała i zestraszona tą niespodzianką, wyleciała na podwórze, a zobaczywszy słup ognia w stronie swych kwater, przerwała niedokończoną igraszkę. — W następnej chwili do jadalni doktorostwa wszedł ks. Mazur, powiadomiony i obudzony ze snu przez służącą Marysię i jego to energji i męstwu, zawdzięcza ocalenie rodzina doktorostwa.

Po tym zbawiennym wystrzale odezwały się inne, oznajmując zbliżanie się rosyjskiego wojska tak zw. Denikinowców.

Zwycięstwo byłej armji carskiej, chociaż krótkotrwałe, przyniosło na chwilę wytchnienie ludności, nękanej nieustannemi bojami. Bolszewicy cofając się w popłochu na wszystkich frontach, karali swych sojuszników żydów, sprawiając im pogromy po wszystkich miastach i miasteczkach. Ta chwila błogosławionej ciszy dała możność wielu polskim rodzinom powrótu do swej Ojczyzny, już wówczas wolnej i niepodległej. — I rodzina doktorostwa wraz z kilku rodzinami urzędników Krasiłowskiej cukrowni wyjechała na zawsze, zostawiając swój biały dwór i starą babkę, pod opieką pp. Kr., u których przemieszkiwali przed odjazdem. — I znów ci rosyjscy monarchiści pod wodzą Denikina zostali rozbici, rozproszeni i przyszło bezkrólewie. Zima tego roku przyniosła wielką niespodziankę, do Krasiłowa któregoś dnia zawitały wojska polskie. 16 grudnia zawitały cudne hallerowskie mundury. Pamiętny, najpiękniejszy dzień, gdy pisząca te słowa, zobaczyła po raz pierwszy w życiu prawdziwe wojsko polskie. W białym dworze nad szosą było dnia tego prawdziwe święto. Gospodyni domu wraz z matką wybiegły na szosę, korzystając z tego, że kompanje przed wrotami stanęły na odpoczynek. Widząc pułkownika i kilku oficerów zdrożonych i być może głodnych, zaproszono ich na śniadanie. Prośba została przyjęta i ta sama jadalna sala, która była widownią egzekucji bolszewickiej, zapełniła się miłymi wojakami. Uszczęśliwione kobiety zastawiły stoły obficie jadłem i napojami, naznosiły wszystkiego, co tylko zasobna śpiżarnia posiadała najsmaczniejszego. Wesoło było, kobietom oczy się paliły z zachwytu. Były różne toasty i mowy, a w jakiejś chwili wśród najszczerszej gawędy i rozrzewniającej serdeczności, stara pani, jakby wiedziona jasnowidzeniem, zaklinała siwowłosego pułkownika i miłych wojaków, by nie szli dalej, jeno po Zbrucz. „Nie idźcie w głąb Ukrainy, o! bo nie znacie wcale przewrotnej duszy zdradliwych Rusinów". Na te słowa komendant odrzekł: „Nie nasza wola matko, tak zrobimy, jak nam rozkaże nasz wódz, Józef Piłsudski, pójdziemy teraz na Kijów, chociaż prawdę mówiąc, i ja jestem tego zdania, że dalej jak po Zbrucz iść nie należy i ufać temu Petlurze nie warto".

Nadeszło św. B. N., miasteczko Krasiłów ożyło z przyjściem polskiego wojska, ludziska chodzili rozpromienieni, rozpoczęły się bale, zabawy w czasie świąt i w karnawale. Panie urządzały przyjęcia dla żołnierzy, teatry amatorskie, koncerty, jakoby po długiej szarudze przecudne słońce oświeciło ten mały krasiłowski światek, jakieś ogromne wesele w duszach poczuli miejscowi Polacy, a wszędzie przodował im przezacny, młody, utalentowany i gorący patrjota, ks. Mazur. Przyszły święta Wielkanocy. Było parę incydentów z miejscowymi bolszewikami, pozatem wojska się zmieniały i szły coraz piękniejsze pułki za pułkami. 3-go maja kościół tonął w kwieciu, orkiestry, śpiewy, parady, uroczyste modły, a z kazalnicy, wniebowzięty, jaśniejący jak anioł w glorji, mówił przepięknie, uwielbiany przez wszystkich ks. Stanisław Mazur. Gdy został wzięty Kijów, entuzjazm ogólny doszedł szczytu. Wielka zabawa w pałacu, park iluminowany i dużo ogni sztucznych. Ale niedługo trwał triumf. W parę tygodno wojska nasze odchodziły spowodu zdradliwego przeniewiercy Petlury, za władzami wszyscy Polacy, kto jak mógł, uchodzili wozami, konno, pieszo. Już nawet niepodobna było zostać z obawy przed miejscową ludnością groźną, mściwą, zbolszewiczałą. Zmykali więc biedni ludziska z dziećmi i z dobytkiem, jeśli zdołali cośniecoś zabrać na wozy, pozostawiając cały swój majątek na łaskę losu. Ks. Mazur został na stanowisku, gdyż było tam dużo katolików-chłopów, dwór kolatorów, ochronka, szpital i przytułek dla starców, wszystko pod opieką proboszcza. Musiał zostać! W dwa tygodnie po św. Piotrze nadeszła pierwsza władza czerwonych carów. Nieszczęście chciało, że ten sam komisarz Samsonow, znów zawitał na znajome miejsca, toteż pierwszą czynnością jego było wyłapanie ostatnich Polaków. Miejscowych zbirów też nie brakowało. Szpiedzy donosili, a Czeka aż huczała od jęków katowanych ludzi. I księdza najpierwej aresztowano i osądzono. Szedł z podziemi więzienia dumny, jak król, w podartej sutannie i z posiniaczonem ślicznem obliczem, blady, z ogniami w oczach, wysoki i szczupły. Obojętnie wysłuchał wyroku. Gdy podły Samsonow z szyderczym uśmiechem wyczytał księdzu wszystkie jego przewinienia, ten w odpowiedzi powiedział mu takich kilka słów prawdy, aż zbir dla zagłuszenia kazał strzelać. 12 strzałów przeszyło ciało bohatera, a męczennik patrząc w niebo z cudownym uśmiechem skonał. Za Polskę oddał życie.

Aleksandra Korwin-Sochaczewska.

ZLOT HARCERSKI W SPALE



Delegacja harcerek amerykańskich w defiladzie

Starzy i młodzi harcerze mieli w tym roku wielkie święto: jubileuszowy zlot w Spale. Na rzucone hasło zlecieli się więc nietylko z całej Polski, ale i spoza jej granic. Spalska puszcza zaroiła się kilkunastotysięczną rzeszą młodzi harcerskiej i pod swą zieloną kopułę wzięła gniazda nieprzeliczone białych namiotów.

W ich otoczu znalazł się pawilon wystawowy, obrazujący całokształt pracy i historji harcerskiej. A w jego środku sanktuarjum chwały, mieszczące tej pięknej historji kartę najwspanialszą: osiemset przeszło nazwisk poległych za ojczyznę.

Z zielonego podłoża pnie się ku stropowi sali olbrzymi czarny krzyż, stapiający się z mroczną głębią pułapu. Obwodzi ją jasne pasmo, inkrustowane wielokrot-



Harcerze polscy z Niemiec



P. Prezydent i min. Kościałkowski w obozie harcerskim

„Piotrkowskie skautki kolegom z kompanji”, trzeci ma hasło „Bóg i Ojczyzna”, a po drugiej stronie „Okrąg Górnego Śląska”, czwarty z krzyżem harcerskim w otoku liści dębowych i napisem „Czuwaj” głosi dumnie: „My zawsze na czele w świt idącej fali”, dalej proporczyk biało-zielony z czerwonym krzyżem i białym na nim orzełkiem, a za nim ostatni oznajmia: „Drużyna harcerska Kościuszki” i po drugiej stronie — „Wszystko dla Ojczyzny”.

Z dwu stron wejścia, tablice duże, na jednej: Kostiuchnówka — Orle — Łowczówek — Rarańcza — Styr — Kijów — Niżankowice — Grodno, na drugiej: Radzymin — Lwów — Brześć — Lida — Żoładów — Wilno — Ciechanów — Płock. Litanja krwią harcerską zroszonych pól bitew.

W tej sali kontemplujemy heroiczną stronę działalności i historji harcerskiej. Chylimy czoła nie powtórzonym, jakże wymownym napisem: Za Polskę! Za Polskę! Za Polskę!...

Wdół od tego rycerskiego pasa spływa purpurowe tło, udekorowane białemi gwiazdami krzyżów harcerskich, ongiś błyszczących na piersiach młodych rycerzy, poległych na wojnie. Ich imiona zawierają białe tablice, usiane mrowiem liter.

Dalej przy ścianie, w świetle płynącem z wielkich okien, pięć zwisających sztandarów: pierwszy z orłem, z czasów pracy pod skrzydłami sokolstwa, drugi podarowały



Defilada harcerzy polskich w Spale

Obok na lewo: Harcerski hejnał powitalny na cześć Pana Prezydenta Rzplitej w Spale



przed duchem poświęcenia i miłości Ojczyzny, który blisko piętnaście tysięcy harcerskiej młodzi zmobilizował pod żołnierskie sztandary w pamiętnym roku 1920 i wcześniej.

Wreszcie wydobywamy się z zadumy nad wymową tego harcerskiego mauzoleum, odwołani przez życie wielkiego zbiorowiska zlotowego. Udajemy się w głąb obozu. Przy obozowiskach poszczególnych

chorągwi witają nas dowcipnie sporządzone przez harcerzy totemy czy symbole.

Podziwiamy kapitalną walkę nurka z ośmiornicą, zainscenizowaną przez chorągiew bydgoską.

Niemniej pomysłowo przedstawia się „czarna trzynastka" wileńska. Strzegą dostępu do niej dwa smoki, a trzy inne stoją na warcie masztu flagowego. Te smoki, zresztą jak inne totemy harcerskie — to szczyt prostoty i pomysłowości. Wygięte gałęzie sosen o łuszczastej korze imitują cielsko mitycznych potworów. Łby to trochę ociosane pieńki, rozłupane tak, by w otwartą paszczę można było nasadzić ostrokół potwornych zębisków.

Konkuruje z niemi jakiś bożek leśny, rogaty i pyskaty, mielący wśród kłów ni mniej ni więcej zegar-budzik. W pobliżu czai się żbik. Wygięta czerwonoruda gałąź, osadzona na 4 kikutach, z czarną krychą pyska, z dwoma węglami oczu, ze szczoteczkami dwu ryżowych kłaków nad uszami. Aż się zimno robi na myśl o bliższej znajomości z tym królem gałęzi.

Przyjemniejsze wrażenie robi sowa: przysadzisty ciemnopłowy pieniek, z płaskiemi deseczkami skrzydeł, z „twarzą" płaską, gdzie jarzą się oczy dwu półszyszek i śpiczasty patyk „mądrego" nosa.

Przedarłszy się wreszcie przez te różne bramy, zapory i broniące ich straszydła, zaczynamy zaglądać do namiotów i szałasów. Podziwiać nam wszędzie wypada samodzielne a zawsze pomysłowe, często estetyczne urządzenia wnętrz. Ciągnie nas „łoże", podesłane sianem czy gałązkami, zasłane wzorzystą tkaniną. Próbujemy rozsiąść się w totelu z powyginanych g a ł ę z i. Lecz nie dane jest nam bliżej się zapoznać z temi urządzeniami. Zapraszają nas do kuchni. Podziwiamy huculskie palenisko, dymiące, ale oryginalne. Trochę się z niego dymi, ale któżby na to zważał.

Nie zważają też harcerze na takie drobiazgi, jak choćby ta fatalna pogoda, co się rozpanoszyła. Deszcz siepie, leje, kapie, kropi ulewą, lub spryskuje kapuśniaczkiem, (Dok. na str. 278).



Wspaniały „wigwam", zbudowany przez Polaków z Czechosłowacji



Defilada harcerek polskich w Spale



Obok na prawo: *Zbiorowy schron harcerzy przed deszczem w Spale*

WAKACYJNE LISTY

Sierpniowe popołudnie w Druskienikach.

Od dwóch dni bezustannie leje deszcz. Rzęsiste krople monotonnie uderzają o dach domu. Woda z rynien spływa na ziemię, tworząc niezliczone kałuże i grząskie błoto.

W tej chwili trudno jest nawet marzyć o opuszczeniu uroczego pensjonatu „Słoneczko", ponieważ olbrzymia kałuża wody przy ganku uniemożliwia wyjście.

Całe towarzystwo pensjonatowe jest dziś w gorzkim nastroju.

Wszyscy chodzą leniwie, osowiali, gniewni i głodni. Głodni nie z braku żywności, ale poprostu z nudów.

Wreszcie pan Eustachy z niebywałą łatwością zebrał partję do bridge'a, a pani Amelja (wdowa po trzech mężach) liczniejsze niż zwykle grono cierpliwych słuchaczy o jej kolosalnem powodzeniu.

Panna Lila, z braku gęstych krzewów w bawialni, poprzez zżółkłe liście rachitycznego figusa, przesyła w stronę pana Edmunda spojrzenia, gorejące w półmroku, jak roratne świece, a ja... opuszczam całe to zgromadzenie i idę do swego pokoju.

Siadam wygodnie w fotelu i jeszcze raz odczytuję listy, otrzymane w ciągu ostatnich tygodni pobytu w uzdrowisku.

Przerzucam białe, żółte, różowe, niebieskie i lila kartki papieru, zapisane różnym charakterem pisma. Każda z nich zawiera inną treść, każda z nich — to indywidualność człowieka.

Najpierw czytam listy od mamy.

Tu stale powtarza się troska o moje zdrowie, przestrogi, przykazania, a nakoniec pytania: „Czy kładziesz szal, gdy wieczorem otwierasz lufcik? Czy jesz dostatecznie wolno dla łatwiejszego trawienia? Czy nie masz przypadkiem przykrych snów? Czy jajka dzisiaj jadłaś gotowane na twardo, czy na miękko?" — i tak dalej w nieskończoność.

* * *

— Braciszek mój Władzio, który w tym roku właśnie zdał maturę i poraz pierwszy samodzielnie wyjechał nad morze, pisze mi:

„Kochana Elżbieto!

Doszedłem niedawno do wniosku, że aczkolwiek życie wogóle jest bardzo piękne, to tu w Jastarni jest przepastnie nudno.

Wstaję o szóstej rano i kąpię się w morzu, o ósmej zjadam śniadanie, o dziesiątej pływam kajakiem, o dwunastej gram w tenisa, o pierwszej popołudniu obiad, potem plaża, o trzeciej załatwiam korespondencję, o czwartej posiedzenie w kawiarni, o piątej bridge u doktorowej Ślepa-Kiszkiewiczowej, potem kolacja, dancing, spacer z kolegami i wreszcie znowu spoczynek.

Przyznasz chyba, droga siostrzyczko, że to wszystko jest nudne.

Przecież ty mnie znasz. Moja szeroka natura rwie się do rozległych horyzontów świata. Zwiedzać nieznane zakątki globu ziemskiego — oto mój żywioł.

Ale cóż? Rozwinięte skrzydła potężnego ducha rozbijają się o... brak pieniędzy. Ojciec niema pieniędzy na moje fanaberje. Każe uczyć się dalej i pracować!

Kochający Ciebie
brat Władysław".

* * *

Maszynistka redakcji, panna Florentyna, leciwa panienka, trochę hipochondryczka, w listach swych otwiera przede mną naoścież swe więdnące serce:

„Wieś Leśna Polana, w sierpniu.

Kochana Elżuniu!

Jak się czujesz? Bo ja to pewnie wrócę po urlopie z bólem głowy. Kochanie Ty moje, nie wiem, co mam robić, żeby mnie nie bolała głowa. Chwilami boli mnie tak bardzo, że sama nie wiem co robiłabym?

Po całych dniach opalam się i leżę pełna zadowolenia, że po całorocznej pracy nareszcie mogę odpocząć na łonie natury.

Elżbieto! Chciałabym, ażeby urlop mój przedłużył się, by móc jaknajdłużej przebywać na wsi, bo wieś uwielbiam!

O wsi marzę jak dziecko! Wieś kocham dniem i nocą. Kocham w niej to, co jest piękne i to, co brudne, biedne i nędzne. Kocham jej urok i jej ciemne strony, bo chcę je wybielić, jak śnieg i doprowadzić do poziomu kultury. O jakże jej nie kochać mocno, szczerze i gorąco, gdyż jest w niej tyle piękna i uroku.

Leśna Polana bardzo mi się podoba, śliczne są naokół przechadzki, skąd cudne przedstawiają się widoki.

Kochanie! Tęsknię i marzę o miłości jak dawniej, ale jej złapać nie mogę. Marzę o szczęściu, a ono tak znikome jak myśl — istnieje i zniknie natychmiast, tylko, że myśl wraca, a szczęście raz utracone zniknąć może nazawsze. Elżuniu, sądzę, że Cię bardzo znudzę, zawsze szczerze usposobiona

Florentyna Klawiszówna".

* * *

Dzidka, koleżanka z lat dziecięcych zawsze jest bardzo indywidualna w swoim światopoglądzie i sceptycznym stosunku do mężczyzn. Dzieli się ze mną swojemi spostrzeżeniami z Krynicy:

„Najdroższa Elżbietko!

Z prawdziwem bohaterstwem zasiadam do listu. Z każdym dniem czuję większy wstręt do pisania, bo nie mam o czem pisać. W naszym pensjonacie jest reprezentacyjna gospodyni, cztery pokojówki, kucharz i t. zw. goście, dość liczni, ale niegodni uwagi. Same stare baby, a w najlepszym razie stare małżeństwa i jeden zdaje się „kawaler do wzięcia" — niski, rudy, piegowaty i z kulawą nogą.

Wobec tego obnoszę bez wielkiego żalu swą dumę panieńską i nie znam nikogo. Szkoda wysiłków, by tu wogóle kogo znać. Ten idjota znów pisze listy — domyślasz się o kim mówię. Czasem nie dowierzam, że można być do tego stopnia naiwnym, ale okazuje się, że tu granic niema.

Przesyłam Ci swe najserdeczniejsze pocałunki
Dzidka".

Izabela Hentzel-Hentszlówna.

WŚRÓD GRZECHOTNIKÓW ARKANZASU

(fragment z podróży)

...Dwa tygodnie pobytu w klasztorze minęły, jakby z bicza trzasł. Trzeba opuścić miłą przystań.

Już i jesień władztwo swe roztoczyła, darząc złocistością dojrzałych owoców i złagodzeniem żaru, lejącego się doniedawna zgóry, gdy słońce wspinało się nieomal na sam środek niebieskiego stropu. Ponęta dojrzałych owoców ściągała ptactwo z puszcz nadrzecznych. Tukany swemi wielkiemi dziobami obłupiały ze skóry pomarańcze i łykały chciwie słodki, soczysty miąższ tej samej barwy, co ich podgardla, a stada papug, tych największych szkodników południowych plantacyj, żerowały hałaśliwie na dojrzałej kukurydzy.

Pomodliłem się w kościołku klasztornym i pożegnałem przy furcie siostrę Agnieszkę.

Chlebak wypchany produktami. Na trzy dni conajmniej wystarczy. Omijam miasto. Z węzła kolejowego w paru kierunkach biegną linje. Wskazują mi tę najbliższą do Kanzas-City i znów staję na torze. Już mam do toru wdrożony pociąg, chociaż pociągom muszę z niego ustępować.

Tuż za miastem uprawne łany. Ciągną się one dziesiątki kilometrów. Farm nie widać, tylko traktory i pracujących przy nich ludzi. O bogactwie bujnej ziemi świadczą ogromne i gęste kopy ściętej kukurydzy. Na takiej kopie spędzam pierwszą noc po wyjściu z klasztoru.



Grzechotnik

Noc przespałem błogo, lecz ranka nigdy nie zapomnę.

Blask słońca zdejmował mi senny ciężar z powiek. Nozdrzami poczułem świeżość powietrza i zapach rosy, słuchem już mogłem wyłowić najlżejszy szelest w ogromnej ciszy powietrza, a zmęczone ciało wciąż jeszcze leniwie lgnęło do wygodnego, kukurydzowego łoża na kupie liściastych łodyg. Leżałem bez ruchu, choć myśli i zmysły rozpoczęły już zwykłą pracę.

Naraz w tej ogromnej ciszy znajomy głos; suchy ton terkotki. Tuż, tuż przy moim boku. Znam ów głos! Tylekroć razy mię ostrzegał, aby od niego uciekać, lub stoczyć walkę.

Grzechotnik!

Zmartwiałem. Myśl, jak błyskawica, nakazała bezruch. Najmniejsze poruszenie to śmierć... Słyszę szelest tuż koło głowy, coś mię trąciło w ramię. Spojrzałem w bok. Ocierając się o marynarkę, którą jestem okryty, sunie ku górze ciemno bronzowe grube cielsko węża. Lśnią się łuski, mienią się na nich skośnie żółtawe, symetryczne smugi i jasno bronzowe geometryczne plamy. Pięknie jest malowany gad śmiercionośny! Grzechotka jego terkoce w okolicy moich kolan, a więc łeb i większość węża jest w górze — nad głową. Słyszę drugą grzechotkę i syk nieco dalej i wyżej, jakby tam drugi wąż pełzał.

Krótką chwilę trwała modlitwa do Opatrzności a wiekiem wydał się czas sunięcia wężowego cielska ku górze.

Gdy grzechotka zrównała się z mojem ramieniem zdobyłem się błyskawicznie na szybki i prężny wysiłek jakiego w normalnych warunkach, nawet młodzieńcem będąc, pewniebym nie wykonał.

Zsunąłem się w dół i, jak podrzucony sprężyną, odskoczyłem od kupy kukurydzy.

Teraz dopiero spojrzałem na nie, jednocześnie zaś na mnie spojrzały błyszczącym, złym wzrokiem podniesione do góry dwa łby ogromnych węży.

Patrzyły złe i zdziwione, otworzywszy paszcze, w których świeciły haczykowate, jadowite zęby i wysuwały się z nich z sykiem czarne, widełkowate języki.

Obyczaje grzechotników poznałem jeszcze w Teksasie na plantacjach bawełny, gdzie było zatrzęsienie węży. Gad ten jest leniwy i tchórzliwy. Człowieka kąsa wtedy, gdy ma go blisko siebie, lecz mając go w odległości paru kroków, nie będzie się nań rzucał ani gonił. W tej chwili byłem bezpieczny.

Pecynami ziemi, rzucanemi zdala, odpędziłem grzechotniki z sąsiedztwa moich sprzętów podróżnych. Umknęły na drugą stronę kopy.

Podziękowawszy Bogu za cudowne nieomal ocalenie, zebrałem spokojnie swoje manatki z wygodnego łoża, które mogło się stać śmiertelnemi marami.

Po paru godzinach porannego marszu okolica zmieniła się do niepoznania. Znikły pola uprawne. Dookoła zeschłe trawy lub niskie krzaczki. Wzgórza, wąwozy, hen w dali stada bydła. Czyżby znów prerje jak w Teksasie?

W stronie północnej ciągną się wzgórza coraz wyższe. Pustka, ani śladu osad i farm.

Kilku murzynów pracuje na plancie przy zmianie podkładów. Obok narzędzi leży strzelba. Pozdrowiłem ich i minąłem.

W pobliżu most na rzece. Po deszczach pewnie jest ona duża i rwąca, teraz ledwie nieco mętnej wody sączy się w głębokim parowie.

Przed wejściem na most zatrzymują mię dwa grzechotniki. Rozciągnęły swe trzymetrowe cielska na żwirze przy szynach, podnoszą łby, groźnie syczą i nie boją się nawet rzucanych w nie kamyków. Zbyt krótką mam laskę, aby się na walkę z niemi decydować.

Wróciłem do murzynów po pomoc.

Starszy wziął strzelbę i dwoma celnemi strzałami zabił obydwa gady. Podziękowałem mu, przeszedłem most i oto już nie dwa ale cztery takie same gady zastępują mi drogę. Co za wstrętna okolica!

Znów wracam do czarnych robotników z prośbą o pomoc, a ci się śmieją ze mnie:

— Zjedzą cię, jak ziemnego pieska-

— Dobrze ci tak! Nie chodź na piechotę. Tor kolejowy jest dla tych, co w żelaznych wozach jeżdżą!

(Dokończenie na str. 270).

SEN I BEZSENNOŚĆ

Jakkolwiek ścisłych danych liczbowych nie posiadamy, to jednak z całą gwarancją prawdopodobieństwa przyznać należy, iż prawie jedną trzecią część życia człowiek spędza w stanie, który daleko odbiega od reszty przejawów jego egzystencji. Stąd też wynika potrzeba zainteresowania się znaczeniem, celowością i odrębnemi cechami snu.

Już sam wygląd śpiącego, ułożenie, brak ruchu, jaskrawo świadczą o nowej, całkiem odmiennej formie bytowania.

Poziome położenie, zakrycie oczu tarczami powiek, dla ochrony przed unoszącemi się w powietrzu cząstkami pyłu, zupełne rozluźnienie i bezczynność narządów ruchu, zwolniony rytm i przeistoczony charakter często dość głośnego oddechu nie mogą ujść uwagi nawet mało wnikliwego obserwatora.

Oddech, oznamionowany głębszemi wdechami, świadczy o wzmożonej potrzebie wchłaniania tlenu i wskazuje na konieczność przeznaczenia na sypialnię obszernego, dobrze przewietrzonego pokoju oraz unikania ciasnych alkierzy.

Higjena nakazuje również nieuciskanie szyi kołnierzem, a całego ciała zbyt ciężkiem przykryciem lub ciasną bielizną.

W sferach ustroju ludzkiego, niewidocznych dla obcego oka, zachodzą również gruntowne zmiany.

Mózg, którego czynność duchowa podczas czuwań jak wartki potok górski toczy głazy i rwie tamy, by wspiąć się w przeźroczu ku nieznanym wyżynom i zająć rozlewem zazdrośnie strzeżone połacie, roztoczyć swą władzę nad umysłem zbiorowości, — ten potężny aparat w chwili uśpienia wpada w odmęt bezwładu i odrętwienia.

Myśl wprawdzie jeszcze goni resztkami sił, rozpływa się po bezkresnej równinie, nie bacząc na warunki czasu lub miejsca, nie licząc się ani z wiekiem, ani ze stanowiskem swego władcy.

Słowem, czynność mózgu puszcza się na bezbrzeżne wody sennych marzeń. Dawniej uważano je jako niedorzeczne wytwory nieokiełznanej fantazji, błąkanie się myśli po manowcach bezładu. W ostatnich jednak czasach, zawdzięczając badaniom wiedeńskiego prof. Freuda, w marzeniach tych zaczęto widzieć przenikanie nieświadomego w sferę świadomości, spowodu osłabienia cenzury mózgu podczas snu.

Na tem podłożu wyrosła nowa dyscyplina lekarska, t. zw. psychoanaliza, która pozwala skutecznie stawiać czoło niektórym cierpieniom nerwowym.

W dziedzinie snu istnieją dwa zjawiska, pozostające na granicy stanów normalnych i chorobliwych, mianowicie — hypnotyzm i somnambulizm. Hypnotyzm jest to sen wywołany sztucznie, za pomocą pewnych manipulacyj, w którym uśpiony poddaje się woli tego, kto go uśpił, przyczem spełnia wszelkie jego rozkazy, nawet najbardziej niezgodne z moralnem nastawieniem zahypnotyzowanej osoby.

Stan podobny do hypnotyzmu, jednak pozostający bez udziału drugiej osoby, całkiem samorzutnie, nosi nazwę somnambulizm.

W tym śnie śpiąca osoba wykonuje czyny instynktowe lub bardziej skomplikowane, rozumowe, i wykonuje je nieraz łatwiej i lepiej niźli podczas czuwania. Oczy ma otwarte i czasem z łatwością wyprawia nawet karkołomne ćwiczenia, jak np. chodzenie po dachu.

Sen jest to przedświt odrodzonego życia „świeżego przypływu energji i sił. Niesłusznem będzie przeto przyrównywanie go do śmierci. Analogja bowiem w tym wypadku jest całkiem powierzchowna i przelotna.

Ludzkość, po całodziennem czuwaniu, po trudach, zmartwieniach, jak zaklęta królewna, z nadejściem nocy

---

Dokończenie: **„Wśród grzechotników Arkanzasu".**

— Taki stary, a jeszcze się porządnego kija nie dorobił!

Wreszcie dozorca ich powiada:

— Nie będę na gadziny marnował nabojów. Przydadzą się na kujoty. Zaczekaj, niedługo nadjedzie pociąg towarowy. On je spędzi z toru.

Spocząłem i zakąsiłem nieco z posiadanych produktów. Rzeczywiście, gdy po przejściu pociągu minąłem most, po grzechotnikach zostało tylko cielsko jednego z nich, przecięte kołami i wijące się w kurczowych rzutach. Zniknie i ono wkrótce z toru, jak znikły już dwa grzechotniki, poprzednio zabite. Od tego jest sanitarna policja sępów, wiecznie czuwających na swych podniebnych posterunkach.

Krzepki i ufny w posiadane zapasy spożywcze, wkraczałem śmiało w tak dziką okolicę, jakiej dotąd nie oglądałem. Nawet stada bydła znikły z horyzontu. Dookoła ogromna pusta przestrzeń. Na spalonej słońcem ziemi suche osty, kamienie, gdzieniegdzie agawa lub kępka kaktusów. Głucha cisza i śmiertelna martwota krajobrazu sprowadza na duszę ogromną tęsknotę za bujną zielenią i żywemi istotami.

Aleć żywe istoty są i tutaj. W niewielkiej odległości od plantu widać kopczyki. Kręcą się koło nich małe, ruchliwe zwierzątka; pieski ziemne — główny pokarm grzechotników, stale rezydujących w pobliżu.

Węże te do plantu kolejowego mają szczególniejsze upodobanie: często muszę schodzić z toru, aby je ominąć. W nocy będę miał pewnie z kujotami do czynienia, a jeśli mi wody i soku agawy braknie, gdy padnę znużony, sępy dokładnie się mną zaopiekują...

Roześmiałem się z tych czarnych myśli.

Dziwna pewność siebie znikła jednak po paru godzinach wraz z zawartością wody w blaszance. Nogi szalenie ciążyły, krew w żyłach paliła. Może dlatego, iż słońce piekło mimo jesieni, a może d'atego, że w dniu tym przeszedłem niebywałą liczbę mil angielskich.

Ile jeszcze przejść muszę, aby spotkać ludzi lub wodę? Nie wiem jak daleko ta pustka się ciągnie? Nie mam mapy, nie zasięgnąłem potrzebnych informacyj...

Idę przed siebie, jak człowiek ciemny, jak szczur wędrowny, który po drodze napotkał morze i chce je przepłynąć.

Jan Szczepkowski.

odpręża się od codzienności i pogrąża się w nirwanę rzeźwiącego snu, z którego po czasie daleko krótszym, niż o jakim prawi nam bajarz, budzi naszą królewnę swych ciepłym oddechem, złotym blaskiem szat promienistych i hejnałem swej świty błędny rycerz-królewicz. A tym księciem-rycerzem jest wiecznie młode życiodajne słońce.

Tu zastanawia nas pytanie, dlaczego stale zasypia ta strona globu naszego, która w czasie postępowego toczenia się jego po orbicie, pozostaje przez kilka godzin odwróconą od słońca, gdy noc pokrywa ziemię swą czarną zasłoną.

Rozwiązanie zagadki jest nader proste: cała przyroda, a w pierwszym rzędzie świat organiczny, żyje w takt słońca.

Ta idea rytmu, prawo okresowości w przejawach życia zależnie od położenia ziemi względem słońca, ostro zaakcentowuje się w świecie roślinnym i zwierzęcym. Na szerszą niż w ludzkim śnie skalę przejawia się odpływ natężenia spraw życiowych w zimowym śnie niektórych zwierząt.

Jeż, niedźwiedź, borsuk znajdują sobie miejsca zaciszne i zapadają w sen w samotności. Nietoperze zasypiają gromadnie, zwieszając się w dół głowami. Wszelkie gady i płazy również pogrążone we śnie przeżywają ten ciężki okres chłodów i braku pożywienia. Budzą się zwierzęta dopiero, gdy słońce wyżej na niebie się podniesie, nasycając świat blaskiem i ciepłem swych promieni.

Że zmiany te bytu zwierząt powstają i trwają w takt ze słońcem — najlepszy dowód widzimy w tem, iż odbywają się one w określonych porach roku niezależnie od nadchodzącego braku pożywienia.

Ze zmian fizycznych w ciele ludzkiem zaznaczyć wypada przedewszystkiem spotęgowaną podczas snu działalność gruczołu tarczykowego, którego rola, między innemi, polega na kierowaniu metabolizmem, czyli wymianą materji. Organizm pozbywa się produktów dezasymilacji, t. zn. rozpadu tkanek, które to produkta, o ileby pozostawały we krwi, stanowiłyby poważną truciznę dla ustroju. Dlatego po dostatecznym wypoczynku sennym człowiek czuje się odświeżonym, rzeźwiejszym.

Na układzie krwionośnym sen odbija się w ten sposób, że obwodowe naczynia krwionośne rozszerzają się, co wywołuje u ludzi, nadużywających snu, bardzo widoczny obrzęk powiek.

Trawienie staje się bardziej powolnem. Dlatego też nie należy zasypiać zaraz po jedzeniu. Pozostawanie pokarmów w żołądku, które zwykle trwa 2—4 godzin, przy spaniu na lewym boku może się przedłużyć do ośmiu godzin. Wobec tego zdawałoby się, że spać należy tylko na prawym boku, jednak tak nie jest, najzdrowiej jest zmieniać od czasu do czasu pozycję, zaś dla zapobiegania przeciążenia żołądka przyjmować pokarmy poraz ostatni na 4 godziny przed snem.

Ze wszystkich nieprawidłowości snu najczęstszą i bardzo przykrą jest bezsenność.

Przyczyny bezsenności są liczne i różnorakie.

Pewna ilość chorób tak ostrych, jak i przewlekłych pozbawiają chorego snu. W tych wypadkach leczenie bezsenności zlewa się w znacznej mierze z leczeniem samej choroby.

Medycyna posiada spory zasób środków nasennych, nie radykalnych a symptomatycznych; temi jednak nie przyjęto szafować, gdyż są pomiędzy niemi leki narkotyczne, lub odurzające, inne znów mają szkodliwe, działanie poboczne.

Natomiast mamy wiele zabiegów higjenicznych, nieszkodliwych i dających nam możność wyjść z trudności obronną ręką, zwłaszcza przy bezsenności neurasteników lub starców.

Łagodne zabiegi wodolecznicze, jak np. ciepłe kąpiele wraz z ruchem na świeżem powietrzu; zaniechanie pracy umysłowej wieczorem: lekka i wczesna kolacja bezmięsna; dbałość o regularną funkcję jelit i pęcherza — taka jest serja zabiegów niewinnych i często bardzo skutecznych.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie podać opis najnowszego w tej dziedzinie pomysłu, który zdaje się nie jest pozbawiony mądrej podstawy.

W Stuttgarcie został otwarty hotel dla cierpiących na bezsenność. Położony w obszernym parku, jest on całkiem izolowany od rozgwaru hałaśliwego życia wielkiego miasta. Cisza panuje tak nazewnątrz jak i wewnątrz zakładu. Wśród tej ciszy niespodziewanie daje się słyszeć z niewidzialnego głośnika częste poziewanie, którem się zaraża pacjent. Następnie rozlega się monotonny, ale przyjemny głos kobiety, która zaczyna czytać modlitwę. Wreszcie i łóżka są tak urządzone, że za każdym poruszeniem pacjenta dają się słyszeć dźwięki przyjemnej kołysanki.

Zakład ten, który służy nietylko jako pomoc doraźna, ale również jako szkoła snu na przyszłość, podobno ma wielkie powodzenie.

Sądzę, że podobny hotel-lecznica mógłby prosperować i u nas.

Dr. Kazimierz Połtowicz.

WSZECHŚWIAT

Wszechświat to katedra wyniosła i dumna
Bogactwem długich wieków tłocząca każdego.
W przedsionku jej — na ziemi ludzkość bezrozumna,
Wyczekuje cierpliwie przeznaczenia swego,
W niebie jakby w ołtarzu mieszka Pan Bóg wielki
I na nasze uczynki spogląda bez złości
W szczęśliwości wiecznej żyłby człowiek wszelki,
Gdyby nie nędze naszych namiętności.

Jerzy W. Helbich.

BAROKOWY KOŚCIOŁEK

Barokowy kościołek pyszni się wieżami,
I pozłocistym krzyżem pozdrawia mnie codzień,
Znam już postacie świętych, cieszę się rzeźbami
Choć jestem tylko zwykły i szary przechodzień.
Czasem wstąpię do wnętrza z bieli i ze złota
I BOGU szeptem zwierzam złe troski żywota.
Kościołek fundowali bogaci wielmoże,
Ja dzisiaj niebogaty, —
Lecz serce me, Boże,
Tobie pragnie wznieść codzień tum większy, niż światy.

Jerzy W. Helbich.

W KRAJU SPADKOBIERCY

Groźba wojny włosko-abisyńskiej zwróciła uwagę na ten mało znany kraj afrykański, jedyny bodaj, oprócz murzyńskiej Liberji, niezależny kraj w Afryce. Jest to olbrzymi zresztą teren, liczący przeszło 1 miljon kilometrów kwadratowych, a więc równy jakiejś pół Europy. Mieszkańców zato na tym olbrzymim terenie jest nie więcej niż jakieś 11 miljonów. Ludność to mieszana w ciągu kilkutysięcy lat z różnych dopływów rasowych. Pierwotni mieszkańcy Etjopji, którzy ongiś podbili Egipt i stworzyli nawet dynastję hyzosów, przemieszali się z Żydami, t. zw. falaszami, Arabami i wreszcie od południa z murzynami.

Na tym rozległym obszarze spotkały się różne cywilizacje od pasterskiej, przez rolniczą do rycerskiej, różne wyznania, od przewrotnego pogaństwa, przez mozaizm, mahometanizm, do chrześcijaństwa.

Habesz, czyli w transkrypcji Abisynja, co oznacza kraj wyniosły, górzysty, nie jest oczywiście taka w swej całości. Od strony morza Czerwonego i oceanu, od Erytreji i Somali jest raczej nizinna, ze wszystkiemi przynależnemi cechami, malarji nie wyłączając. Centralną i zachodnią część tworzy dość wysoki płaskowyż, będący źródliskiem Nilu. Stąd ważność Abisynji w stosunku do całego dorzecza Nilu i stąd zainteresowanie Anglików, protektorów Egiptu, terenami t. zw. niebieskiego Nilu i okolicami jeziora Thana. Anglicy nawet gotowi są, w razie wybuchu wojny, odpowiedniemi krokami wojskowemi zabezpieczyć swoje interesy w tej części kraju.

Abisynja jest niewątpliwie krajem pod każdym względem zacofanym. Ogólny jej poziom cywilizacyjny niewiele się dalej posunął poza okres pasterski. Panuje w niej niewolnictwo i średniowieczny feodalizm. W całym tym olbrzymim kraju jest tylko jedna linja kolejowa. Armja, ostatnio zmodernizowana, ma jednak niewiele więcej ponad osiem samolotów i kilkadziesiąt armat, z których jedna śmiało mogłaby zdobić muzeum wojskowe, pochodzi bowiem z roku 1861. Abisyńczycy są jednak bitni i ambitni. Dowodem zwycięstwo nad Włochami pod Aduą w roku 1896, gdzie, coprawda trzykrotnie większemi siłami, znieśli blisko 20-tysięczną armję włoską.

Najciekawszą bodaj stroną życia Abisynji, kraju klasycznego analfabetów (90 procent), gdzie nauczanie zna system zakuwania w kajdany, jest bezsprzecznie religja, a raczej ciekawa mozaika wyznań.

Na gruncie pierwotnego pogaństwa w IV wieku pojawia się chrześcijaństwo. Arjusz nie zdołał zapuścić tu swych wpływów, natomiast przyjął się monofizytyzm, mający oparcie w biskupie Aleksandrji, potępiony przez sobór chalcedoński w roku 451.

Od tego czasu powoli zaczęły się również zatracać związki z Aleksandrją. Przejawiają się one jedynie w fakcie mianowania przez patrjarchę aleksandryjskiego białego metropolity, tak



Cesarz A

Pod przewodnictwem Litwinowa odbyło się posiedzenie Rady Ligi Narodów w sprawie zatargu włosko-abisyńskiego.





ynji Menelik

DZIEDZICTWA SALOMONA

zwanego abuna, za co składa się podarek od 7 do 12 tysięcy talarów Marji Teresy. Ów abun, wyposażony we władzę kanoniczną, ma obok siebie innego zwierzchnika, zwanego eczegje, który znowu ma w swem ręku administrację kościelną.

Ciekawe są przepisy religijne. Tak np. Abisyńczycy mają chrzest, na znak którego noszą łańcuch z krzyżykiem i obrzezanie, zaświadczone błękitną wstążeczką na szyi. Małżeństwo uważane jest jużto za zwykłą umowę, jużto związek sakramentalny, jeśli został pobłogosławiony w świątyni. Wówczas wdowa otrzymuje prawo głowy rodziny po mężu. Żenić się mogą również kapłani, coprawda raz jeden w życiu. Mnichów obowiązuje celibat.

Abisyńczycy święcą zarówno niedzielę jak i sobotę (w spadku po Żydach). Mają Pismo św. (wolno je czytać tylko kapłanom), śpiewają psalmy w starożytnem narzeczu Ghez, czczą świętych, a przedewszystkiem Matkę Boską, którą nazywają „Stworzycielką świata". Nie jadają wieprzowiny. Kapłani poza modłami odprawiają również taniec rytualny z kijami wokoło arki przymierza. Gdy kapłan prawosławny odprawia za carskiemi wrotami modły, wierni tymczasem załatwiają interesy, kłócąc się głośno. A potem rzucają się do całowania rąk kapłana.

Niemowlę obrzezuje się ósmego dnia, a chrzci czterdziestego. Dziewczynkę chrzci się osiemnastego dnia. Dziecku obok krzyżyka i wstążeczki zakłada się na szyję worek z talizmanami. Abisyńczyk 200 dni w roku pości; nie przejdzie koło kościoła, żeby nie pocałować muru. Mniej natomiast zwraca uwagi na obowiązki moralne. Toteż spowiada się dopiero od 25 roku życia, Komunję zato przyjmuje pod obu postaciami już od dziesiątego roku.

W każdej świątyni odprawia się tylko jedna Msza św. Świątynie są dwojakiej architektury: kwadratowe na północy i okrągłe na południu. Wewnętrzny podział świątyni przypomina świątynię żydowską z jej „miejscem świętem świętych" i arką przymierza. Abisyńczycy wierzą, że u nich właśnie przechowuje się prawdziwa arka przymierza, pochodząca ze zburzonej świątyni Salomona.

Do powyżej opisanego kościoła państwowego należy mniejwięcej połowa 11-miljonowej ludności Abisynji. Ponadto działają tam schizmatyckie obrządki koptyjski, syryjski i ormiański oraz judaistyczna sekta falaszów.

Katolicy na chrześcijan abisyńskich zwracali baczną uwagę oddawna. Juljusz III wysłał do Abisynji w roku 1555 cały zastęp misjonarzy jezuitów z biskupami na czele, którzy przez prawie sto lat z wielkim pożytkiem dla Kościoła i narodu abisyńskiego tam pracowali. W roku 1632 misjonarze jednak z kraju tego zostali usunięci i dopiero w roku 1702 udało się tam dotrzeć kapucynom. Niedługo i tym razem trwała praca, a na nowo podjętą być mogła w roku 1839, gdy do środkowej Abisynji dotarł lazarysta o. de Jacobis i Św. Kongregacja Propagandy utworzyła w Abisynji oddzielną prefekturę apostolską. Obecnie nad Abisynją juryzdykcję kościelną sprawuje delegat apostolski na Egipt, Arabję i Palestynę oraz wikarjusze apostolscy w Gouala i Harar i prefekt apostolski w Addis Abeba. Ogólna liczba wiernych katolików wynosi około 60 tysięcy.

Mussolini wygłasza przemówienie





Tubylcze wojsko włoskie w Somalji przy posiłku

ku 1917 Lidż Jeassu i ogłoszono cesarzową Zaoditu, córkę Menelika. Regent Tassama został otruty, a na jego miejsce przyszedł ras Taffari, zwycięsca w wojnie z Jeassu. Ten ostatni początkowo uciekł w góry, następnie został schwytany i osadzony w klasztorze na wysokiej górze. Ras Tafari sprytnie wziął się do unieszkodliwienia swego przeciwnika. Miast go truć, tak go przekarmiał, że ze smukłego mężczyzny zrobiła się baryła mięsa, wagi 160 kg. Gdy Lidż Jeassu uciekł i pokazał się swym zwolennikom, stracili do tej góry sadła całe swe przekonanie. Dobrowolnie więc wrócił do więzienia.

Ras Tafari został w r. 1923 negusem, a w r. 1930, po śmierci cesarzowej, ukoronowany. Na ten obrzęd zaprosił przedstawicieli wszystkich państw, w tej liczbie i Polski. Nauczył się przytem trochę naszej historji.

Jeśli chodzi o polityczne dzieje Abisynji, to Abisyńczycy chętnie powołują się na biblijną królowę Sabę = Aseb (Makeda), która miała z Salomonem syna, Menelika, koronowanego potem na króla w świątyni jerozolimskiej.

Abisynja długo zamknięta dla obcych wpływów, w okresie ekspansji islamizmu uległa najazdowi arabskiemu, co zostawiło wyraźne ślady na jej kulturalnym, rasowym i religijnym wyglądzie. Prawie połowa ludności jest przecież wyznania muzułmańskiego. Muzułmaninem był także słynny z waleczności ras Mikael, ojciec Lidż Jeassu. Ten ostatni jest wnukiem Menelika II Wielkiego, zmarłego w 1913 roku.

Lidż Jeassu liczył wówczas 15 lat, otrzymał więc opiekę w osobie regenta rasa Tassamy. Lidż Jeassu nie mógł zapomnieć o muzułmańskiej tradycji swej rodziny, ponętna mu przytem była myśl opanowania sąsiednich ziem i ogłoszenia się *c e s a r z e m* Afryki wschodniej. To wszystko było ogromnie nie na rękę mocarstwom zachodnim, walczącym wówczas z Niemcami.



Żołnierze włoscy, wyjeżdżający na wojnę z Abisynją

Postarały się one wesprzeć rasa Tafari, który oddawna już pragnął zagarnąć tron negusa negesti. Zdetronizowano w roku 1917 ...



Obok na lewo:

Małżonkowie abisyńscy

Na uroczystości koronacyjne przygotowano tyle trunków, że dopijano ich jeszcze w roku 1933.

Jeśli chodzi o poziom kultury abisyńskiej, to najlepszym dowodem jej niskości jest stan higjeniczny kraju. Dość powiedzieć, że Abisynja jest klasycznym krajem trądu. Według „oficjalnych" obliczeń, jest tu trędowatych jakieś 60.000. Faktycznie jest ich dobre 100.000. Zalegają oni drogi publiczne, żebrząc i nastręczając się swym przykrym wyglądem. Trudno o coś bardziej ohydnego od tych ciał czarnych, a pokrytych szaremi plamami zgorzeliny trądowej, od tych powyżeranych nosów, od tych ropiących ran.

Dla nas zdumiewającą przytem rzeczą będzie fakt, że trędowaty Abisyńczyk uważa się poniekąd za uprzywilejowanego. Trąd „wyzwala" go bowiem z niewolniczej zależności od pana, daje mu upragnioną swobodę, a tak zwane miłosierdzie ludzkie pozwala istnieć z dnia na dzień z użebranej czy wymuszonej jałmużny.

Gdyby nie rozpadanie się ciała, istnienie trędowatego byłoby poprostu rajem. Chociaż przy jego pierwotnej psychice prawdopodobnie nie jest mu tak źle, najlepszy to dowód jak miło żyć jest abisyńskiemu niewolnikowi.

Z trądem w Abisynji nie walczy się zupełnie. Niema lepresorjów, czyli miejsc odosobnienia dla trędowatych. Niema żadnej akcji profilaktycznej ani leczniczej. Abisyńczycy unikają jedynie stykania się z trędowatymi — nie podają im ręki — i tyle tego, czyli bardzo niewiele.

Niemniej mizernie przedstawia się sprawa walki z chorobami wenerycznemi. Najpospolitszym środkiem jest napój, działający ostro na poty. Pozatem stosowane jest przypalanie żelazem, leżenie na rozpalonych kamieniach. Podobno wszystko bardzo skuteczne: chory albo umiera, albo wyzdrowieje — oczywiście rzadziej.



Tubylcze wojsko włoskie w Somalji na wielbłądach



Wojsko abisyńskie ze swoim wodzem

Po takich końskich zabiegach niosą chorego zwykle do świątyni, gdzie go kładą. Tam leży aż do skutku — jak wyżej: śmierć albo wyzdrowienie.

W ten sam sposób walczy się z inną niebezpieczną chorobą: zimnicą, zwaną po tamtejszemu „woba". Najczęściej — oczywiście zamożniejsi — uciekają od choroby w miejscowości wyższe, powyżej 2500 m, gdzie automatycznie febra ustaje.

Nieraz całe osady się tak wyludniają.

Oczywiście „elita kulturalna" Abisynji, cesarz, jego dwór, rasowie, czyli wielkorządcy, kupcy i t. d. uciekają się dziś do pomocy medycyny europejskiej. W Addis Abebie są trzy szpitale, z tego jeden rządowy.

Warunki komunikacyjne w Abisynji są też nieszczególne. W okresie deszczów absolutnie nigdzie dojechać nie można, zwłaszcza jakimś wozem. Stąd niebezpieczeństwo dla zmotoryzowanej armji włoskiej, która może poprostu ugrzęznąć po drodze. Tak, jak niebezpieczeństwem dla Abisynji byłoby zastosowanie wojny bakcylowej. Zarazki malarji, tyfusu mogłyby zdziesiątkować ich armję i cały kraj, pozbawiony zupełnie środków higjenicznych.

Powoli jednak cywilizacja przenika w głąb Abisynji. Twarda konieczność życiowa zmusza do tego Abisyńczyków, jak ongiś Japończyków. Początkowo bronili się oni przed dobrodziejstwami cywilizacji. Było to przed kilkudziesięciu laty, w okresie reakcji muzułmańskiej. Obecny cesarz Hailie Selasie przywrócił jednak znowu chrześcijaństwo do dawnej roli i skierował Abisynję ku Europie. Sam odebrał wykształcenie we francuskiej szkole w Harar i stąd pozostaje w żywych stosunkach z Francją, a również i z Anglją. Po koronacji odbył podróż do Europy, odwiedzając przedewszystkiem te dwa kraje.



Obok na prawo:

Ofiara pedagogji abisyńskiej.

WITOLD BUNIKIEWICZ 6)

PROROK Z DAMASZKU

NOWELA

IX.

Żałosny nastał dzień w Damaszku, gdy pielgrzym przewiesił przez plecy sakwy i, ująwszy w ręce kij podróżny, ruszył śladem karawan ku wschodzącemu słońcu w pościgu za nieodgadnioną marą.

Stary był z pierwszego wejrzenia, siwa broda okrywała mu piersi, ale w wejrzeniu jarzył się ogień, obiecujący wybuchnąć młodą pożogą, gorętszą nawet od tej, którą siało złe, gryzące słońce, rozpalone nad miastem.

Widocznem było, że człowiek ten nie przekroczył zenitu lat i nie zakrzepło mu serce w bezładzie, lecz umie pragnąć.

Zmartwiała na jego widok Martynka, a Nastunia aż zatoczyła się z przerażenia i przez tłum ludzki poczęła ciągnąć swą panią ku opustoszałym ulicom, aby zaczerpnąć powietrza, które wydało się jej duszne i gorące.

— Jezus, Marja — urok czy przewidzenie, ale mogłabym przysiąc, że to nasz dawny panisko, choć siwy i pomarszczony, niby ośla skóra na słońcu.

— Nie spoglądajcie, wielmożna pani w jego stronę, bo co nam po takim łapserdaku, który wyżebrywać musi kubek labanu.

Martynka opuściła powieki, chcąc ochronić się przed widziadłem, a serce jej tak waliło w piersiach, że oddech zamierał. Chciała przemówić, lecz głos uwiązł w gardle, a nogi odmówiły posłuszeństwa i wrosły w kamienną ulicę.

— Marjam, Marjam umiera, wrzasnęła Nastusia, czując, jak pani zwisa bezwładnie na jej ramieniu.

Sto rąk wyciągnęło się w stronę niewiasty, ale powstrzymała je myśl, że zaraza wróciła i nie należy kalać się dotykaniem niemocnych.

Niektórzy w popłochu zawracali ku domom, a wokół omdlałej rozwarła się wolna przestrzeń. Martynka upadła na bruk uliczny, zimniejsza od tych kamieni, które dotknęła głową.

Podążył w jej ślady cudaczny pielgrzym, i, ujrzawszy umierającą, pochylił się do jej czoła.

Martynka otworzyła oczy, jakby pod dotknięciem niepojętej mocy, sączącej się w jej żyły.

Paliły ją spojrzenia pielgrzyma i przejmowały takim lękiem, jakiego nie doznała nigdy dotąd w życiu.

— Poco zjawiłeś się ku udręczeniu, które mnie smaga gorzej od biczów pokutnych? — wyrzekła drżącemi usty.

— Ciebie odnalazłem, niczego więcej nie pragnę, odparł żebrak.

— Uczyniłeś więcej dobrego, niż zdołał pospolity człowiek...

Nie powracaj mnie do życia, nie oddawaj światu!

— Cicho Martynko, cicho, szeptał nędzarz, dotykając ręką jej czoła, na którem wystąpiły krople potu.

To, co zowiesz życiem, ułudą jest i nikczemną chwilką. Nie tutaj nasze szczęście!

— Świętym cię zowią, wybełkotała niewiasta.

— Miłość i ból były jedyną moją strawą, szemrały usta cudaka, urosły we mnie, jak dąb wśród krzewin, tłumiąc wszystko swym cieniem.

Błogosławione jednak cierpienie, jeśli zrodziło się z niego twe szczęście.

Żyj w spokoju!

— Pielgrzymie, czas w drogę, ozwało się kilku nędzarzy. Bogactwo, o którem mówiłeś, znaleźć mogą Beduini, wypatrywacze pustyń. Niewiasta ożyła, lekko tylko ugodzona słońcem.

Obłąkany jednak wędrowiec odrzucił torby podróżne i zastygł w bezruchu.

— Nie puścimy cię z miasta, wrzasnęła gawiedź, podniecona widokiem zbudzonej z niemocy kobiety.

— Pozostań z nami!

Nie opierał się już pielgrzym, lecz skierował kroki pod święty platan Mahometa, by oczekiwać tej pory, gdy wicher śmierci zdmuchnie duszę z drzewa żywota, jako on liść zwiędły i pożółkły z rosochatej gałęzi.

A ocknąwszy się z odrętwienia jął opowiadać o Bogu Miłości i Przebaczenia, który niedaleko stąd, w sąsiedniej krainie, poniósł mękę za szczęście człowieka.

X.

Bejram roku 1682 upłynął na dziwnych zabawach.

Po dniach surowego postu, który zachowywano z niezwykłą gorliwością, nastały dni wesela.

Nie była to jednak zwykła świąteczna ochota, ale jakieś radosne podniecenie, które wzmagali jeszcze liczni kaznodzieje, wędrujący z rozkazu bożego po ziemiach mahometańskich, ażeby przypomnąć wiernym, że nadszedł wreszcie czas, w którym islam zmiażdży swych wrogów i wprowadzi ład proroka na całym świecie.

Bo jako niema dwóch słońc na niebie, tak nie może być dwóch władców ziemi: padyszach w Stambule i namiestnik Chrystusa w Rzymie.

W snach ekstatycznych widywali prorocy, wycieńczeni postami i długotrwałemi modłami, jak nad kopułą domu Piotrowego zajaśniał księżyc, a w siódmym dniu miesiąca Muharem wszyscy chrześcijanie zamienili się w świnie, które spłoszone widokiem Allaha, potonęły w błotach i nieczystościach ziemi.

Z tych więc powodów nie oddawano się w wesołe dnie Bejramu zwykłym pijatykom i hulankom, ale radosne zbiegowiska zamieniały się w poważne wiece, a zamiast tradycyjnych upominków, obdarowywano się wzajemnie amuletami, które chronią od pocisków, lub orężem, pobłogosławionym przez nieomylnych zaklinaczy.

Tego roku nie wyruszyły również pielgrzymki do Mekki, bo prorok objawił swym synom, że tak długo mają nasłuchiwać od Zachodu, aż z ostatniego cypla ziemi nie usłyszą zwycięskiego wołania:

— Mahomet jest posłannikiem boskim, a uczniowie jego są straszni niewiernym!

Uczony Nazmi zaszedł do komnat Solimana.

Ciekaw był wiadomości ze Stambułu, a sam otrzywał wieści, radosne dla jego nauki.

Wielki wezyr przystał do stronnictwa pobożnych i, choć niedawno jeszcze odradzał wojnę z cesarzem, teraz zawiesić kazał na pałacu padyszacha wojenne buńczuki i wypędził proroka Gabiję, który, wbrew wszystkim kapłanom, powstrzymywał władcę władców od wojennego przedsięwzięcia.

— I ty powinieneś tak uczynić, prawił Nazmi, niemało mamy bowiem w Damaszku przeniewierców, którzy wątpią w przepowiednie nieba.

Jesteś paszą Damaszku, a poprzednik twój, Ibrahim Szejtan, nie wahał się w takich chwilach...

Pergaminowe oblicze Nazmiego przebiegł błysk wspomnień, jak zbożny tłum rozszarpał kilku Nazarejczyków, śpieszących do Ziemi Świętej, a kupców ormiańskich, osiadłych od wieków w Damaszku, wleczono do meczetów, aby poddać ich obrzędowi oczyszczenia i przymusić do prawdziwej wiary.

Soliman przejrzał Nazmiego i zrozumiał dokąd zmierza jego mowa.

Jeśli padnie imię Martynki, odleci z karku głowa natręta, który się wkrada do nietykalnych komnat jego miłości, przeto wtrącił:

— Nie twoja rzecz doradzać mi, uczony człowieku, a wiedz o tem, że Ibrahim, zwany Szatanem, źle przysłużył się padyszachowi.

— Tyle jednak wylał wrażej krwi, że skropione nią drzewa Edenu pokryły się w trójnasób bogatą zielenią.

Nie oszczędził nawet hurys w babińcach, lecz przybijał je ostrzami do puszystych wezgłowi.

— Kobieta, jak kwiat, wszystko jedno, z której zerwana łąki, byle radowała duszę, spełnia swe przeznaczenie, odezwał się młody wódz.

Wytrawny jednak dialektyk, wykształcony na arabskich logistach, zaczął nicować tę odpowiedź:

— Kwiat dobry i kwiat trujący, tylko ludzie obeznani z zielnikiem znają jego ukryte właściwości.

Z najpiękniejszych kwiatów sączy się jad, kropla czasem starczy, by zabić, a Soliman jest już zatruty, bo wcale mu nieśpieszno z Damaszku, w rozkoszach zatraca łaski Allaha i popiera fałszywca Gabiję, przekupnego łotra, który mieni się być prorokiem.

Są zaś rozmaite przekupstwa, i pocałunkami można przekupić.

— Precz! — warknął pasza, a w źrenicach jego zagrały takie błyski, iż Nazmi cofnął się przezornie ku drzwiom.

Z gardła zaś jego wylatywały głosy, jakby zatrute groty i godziły w Solimana.

— Nic ci nie zawiniła niewiasta, którą miłuję, wyszeptał prawie błagalnie.

— Prorok obdarzył mnie taką łaską, iż uszu i oczu nie odwracam od jego wrogów, a ona niewiasta wzbrania ci wyciągnąć miecz na niewiernych, charkotał pijany nienawiścią Nazmi. Więc musi zginąć, jako i cały ród jej przeklęty. Niema bowiem w nas litości, jest tylko prorok i jego wola.

— Drży o moje życie, lituje krwi przelanej, bo świat cały zwali się na lud mahometański, próbował Soliman przekonać wodza stronnictwa pobożnych w Damaszku.

— Gryzą się między sobą, jak psy o ścierwo, a nieprzyjaciół papiestwa prowadzi Tököly, lennik padyszacha i pali kościoły Lechistanu, podsuwając się pod Kraków.

Nie straszny nam cesarz i czarownik w polskiej koronie, bo moc jego unicestwią cudotwórcy irańscy, którzy umieją wywoływać większe jeszcze dziwy, bełkotał najuczeńszy mąż Damaszku, malując Solimanowi przyszłe dnie zwycięstw rycerstwa mahometańskiego na wszystkich krańcach świata.

XI.

Poraniony złowrogiemi myślami biegł Soliman do pokojów Martynki. Złożył głowę u jej kolan i oczekiwał pieszczot, któreby pozwoliły mu zapomnieć o ciężkiej trosce.

Martynka gładziła pękającą z rozterki skroń miłego i milczała.

W milczeniu tem kryła się jednak burza i niewypowiedziany ból, więc cichy szloch wydarł się z piersi niewiasty, a na policzki paszy padła jej łza, jak piekło gorąca.

Soliman wyrwał się z bezradnej niepewności i postanowił:

— Zostanę jeszcze tydzień, a w odpowiedzi na to postanowienie otrzymał pocałunek i uśmiech wdzięczności, który droższy mu był ponad przyjaźń padyszacha i raj Mahometa.

I wysłał gońców do Stambułu z doniesieniem, że brak mu oręża i koni, albowiem Arabowie wypędzają swe stada w pustynię, nie chcąc ciągnąć na wyprawę, wreszcie narzekał na niezadowolenie janczarów, którzy burzą się przeciw muftim i różnym oczajduszom, udającym powierników Nieba i Proroka.

Wzburzeni janczarzy osmagali nawet wielkiego Nazmiego i całą gromadą ruszyli pod święty platan, posłuchać obłąkanego Nazarejczyka, który opowiadał o ziemiach dalekich, kędy niebawem zabielą się turbany, jak kamienie mogilne.

— Opamiętajcie się ludzie, wołał obłąkaniec tak przejmującym głosem, iż nawet starym żołnierzom, nawykłym do ludzkiego bólu, strach legł w duszy.

— Za każdem waszem stąpnięciem krew tryska, wasza krew i ich, ku nasyceniu szatana. Wielki Bóg stworzył miłość, a czart ku wyszydzeniu Przedwiecznego posiadał nienawiść. Chcieli muftowie i zaślepieni pożądaniem walki kaznodzieje wypędzić z miasta obłąkańca, lub wtrącić go do lochów, lecz obawiali się wzburzyć felahów i wszelkie pospólstwo, które otaczało Nazarejczyka czcią, składaną największym prorokom.

Wybrany to był mąż przez Opatrzność, zapominał o swem ciele, które zadawalało się kęsem placka lub garścią jagód, a płonął potęgą ducha, tryskającą z całej jego postaci.

I nietylko mieszkańcy Damaszku, ale i przybysze z sąsiednich miast i osad garnęli się do Nazarejczyka, pewni, iż głosi prawdziwą naukę.

W takich warunkach trudno było skrzykiwać żołnierzy, gdy nawet karni janczarowie odmawiali posłuchu.

Mieli wszyscy w pamięci klęskę Ibrahima Szatana i żałosny powrót jego wojsk.

Nad całą krainą zawisła żałoba i nie było domu, któryby nie opłakiwał straty młodzieńca, lub męża.

Święty pielgrzym wieści prawdę, wołały tłumy, nie nam użyźniać pola niewiernym...

Wezyr jednak naglił:

— Takiej wyprawy nie oglądał jeszcze srebrny księżyc, brat słońca, a Allah w niebie raduje się tem mnóstwem muzułmańskiego ludu, który ciągnie na rozstrzygającą walkę z niewiernymi. Jeden tylko Damaszek zwleka.

Soliman drżał, czytając to pismo. Z surowych liter wezyrskiego rozkazu przeglądała twarz Martynki, biała, jak śmiertelne płótno, a zapach trupich kwiatów szarpnął jego nozdrzami.

Pod platanem Mahometa wyły tłumy, rozjątrzone rozkazem wezyra, a janczarzy ostrzyli broń, niewiadomo w czyje wymierzoną serce.

— Nie usłuchamy wezwania! Kalifem naszym święty, pielgrzym, a Koranem jego nauka!

Soliman wbił spojrzenie w rozkrzyczany motłoch i stało mu się jasnem, że niema innego wyboru.

Albo przepędzić rózgami tę zgraję i zezwolić spahisom, aby rozprawili się z janczarami, a sprawcę tej rebelji uciszyli na wieki, albo stanąć na czele buntowników i podnieść oręż na padyszacha.

— Psem byłby zdradzieckim, nikczemną sobaką, która chwyta za gardło dobrodzieja, powtarzał sobie po stokroć razy.

Tłum płynął ogromną falą, wykrzykując w podnieceniu:

— Dobra Marjam z nami!

Stanęła piękna u boku Solimana jako zjawisko, nigdy dotąd niewidziane. Zda się wstąpiła w nią wyniosłość posągów, spotykanych na wyspach Helespontu, zaś w słowach jej brzmiało harde postanowienie:

— Spełnia się nasze przeznaczenie!

— Wybieraj!

Zamigotały źrenice paszy stalowemi skrami, lęk go chwycił przed samym sobą, a na usta wybiegło pytanie:

— A ty kogo wybierzesz, piękna niewiasto?

— Nikczemnego włóczęgę, czy miłość moją, która nie zna granic.

— Nie chcę twej miłości, ma w sobie smak krwi i bluzgot łez!

Hurmy wron krakały przy jej wschodzie, innym na śmierć, a nam na opętanie.

Świsnęły kule spahisów, skierowane w janczarskie piersi, które osłaniały Nazarejczyka, a odpowiedział im bełkot i strzał i skowyt ludzki.

Poprzez tłumy przedzierała się Martynka, kierując bieg ku olbrzymiemu platanowi, gdzie cudaczny żebrak wieścił nadejście miłosierdzia.

— Dobra, dobra Marjam, zejdź z drogi, nie twoja rzecz mieszać się w spory mężów, wołały kobiety, wystraszone widokiem pobojowiska.

Lecz Martynka nie zwracała uwagi ani na przestrogi niewiast, ani na świst strzał, obijających tynki domów. Przed oczyma biegnącej mignęła postać Nazima. Zauważyła, że naciągał cięciwę, a zdala doleciał ją tętent rumaka i rozpaczliwe wołanie Solimana.

Nie zrozumiała treści, bo wąska smuga krwi zabarwiła szatę w tem miejscu, gdzie na zawsze zamilkło jej serce.

Nazim triumfował.

Dokończenie: **„Zlot harcerski w Spale".**

lekkim, ale uporczywym. Chowają się przed nim, jak mogą do swych lepianek, ziemianek, szałasów, namiotów, schronów, których najrozmaitsze typy rozsiadły się po obozie. A jak tylko deszcz zwolni swe tempo, zaraz bractwo harcerskie płci obojga wyłazi na świat: defiluje, śpiewa, biega, krzyczy, urządza marsze, parady, popisy, wyprawy lądem, przeprawy wodą, kucharzy, gwarzy, aby wreszcie wieczorem przy ognisku, otoczonem przez „krąg rady", spocząć z piosenką na ustach.


Delegat młodzieży składa na ręce P. Prezydenta adres hołdowniczy

Rano z pobudką i pieśnią wita swój sztandar, wieczorem go żegna.

Tętni weselem, radością, beztroską, młodością harcerski obóz, bawi, wychowuje młódź, a poucza i zachwyca gości.

Wśród najrozmaitszych uroczystości i popisów w czasie trwania obozu, jednym z najciekawszych był niewątpliwie ceremonjał wręczenia nagród drużynom harcerskim, najbardziej zasłużonym w dziedzinie krzewienia oszczędności. W wielkiej hali zgromadzili się przedstawiciele drużyn, podziwiając całe góry sprzętu harcerskiego, przeznaczonego do rozdania jako nagrody.

Gromkie salwy a-a-a!!! towarzyszyły wymienianiu nazw zwycięskich drużyn. Okazało się przytem, że na kilkadziesiąt drużyn męskich ledwie siedem chorągwi żeńskich znalazło się na zaszczytnej liście. Czy doprawdy nie przereklamowywano dotąd rzekomej „cnoty oszczędności" u kobiet? I tu biją je bez żadnej proporcji mało cnotliwi mężczyźni.

Miejmy jednak nadzieję, że ten stan rzeczy zmienią właśnie harcerki.



POLITYKI

„Anglicy" Dalekiego Wschodu.

Niewątpliwie analogiczną rolę do Anglji w Europie i wobec niej, odgrywają na Dalekim Wschodzie Japończycy. Są nawet duże podobieństwa między rozwojem potęgi angielskiej i japońskiej. Podobnie jak Anglja, przez długie wieki żyła Japonja odosobnionem życiem wyspiarzy. I podobnie jak ona, wystąpiła nagle na widownię polityczną, by na sąsiednim kontynencie wpływać na rywalizację narodów. Możnaby wyciągnąć stąd wniosek o wielkim pożytku skupienia się na niewielkim skrawku ziemi dla osiągnięcia w następstwie siły i rozmachu do ekspansji. Te są podobieństwa, które możnaby jeszcze pomnożyć o rys psychologiczny — bezwzględności w postępowaniu, właściwy obu narodom, które dla swych celów nie zawahają się przed żadnym, choćby najmniej godziwym krokiem. Są oczywiście różnice. Gdy Anglja nigdy nie miała, z wyjątkiem może okresu walki róży czerwonej z białą, chęci do opanowania najbliższego sobie kontynentu europejskiego, a z Napoleonem walczyła jedynie w myśl swej odwiecznej zasady utrzymania równowagi sił, uzupełnień terytorjalnych poszukała sobie natomiast na dalekich lądach, to Japonja najzupełniej zdecydowanie idzie na podbój sąsiedniego terytorjum kontynentalnego, t. j. Chin.

„Azja dla Azjatów".

Przy okazji wystawia zaś bardzo ogólne i mgliste, ale pożyteczne hasło: „Azja dla Azjatów!", które pozwala Japonji sięgać do Indyj po muzułmanów (setki studentów kształcą się na japońskich uniwersytetach) i nawet do Abisynji, gdzie sięga swym eksportem; a więc pojęcie Azji w owem haśle z łatwością daje się wymienić na Afrykę. I Japonja świadomie go wymienia, bo jej ambicje są bodaj większe od granic Azji, pragnie ona skupić przy sobie wszystkie ludy kolorowe świata, trochę, by je przeciwstawić ludom rasy białej, która eksploatuje zbyt bezwzględnie i długo całą resztę humanum genus, a trochę, by poeksploatować tę resztę na własny, japoński rachunek. Japończycy nie mają zbyt wielkiego wyobrażenia o kulturze europejskiej. Zaczęło się to od pierwszego zetknięcia z tą kulturą na tle rywalizacji misyjnej, kiedy to protestanccy misjonarze holenderscy nie zawahali się nawet denuncjować katolików. Jak wiemy, skończyło się to ogólną hekatombą pracowników misyjnych i wiernych wierze mieszkańców krainy Wschodzącego Słońca, a w rezultacie zamknięciem wysp Nipponu na dwa wieki dla postępu krzyża. Ponowne zjawienie się Europejczyków w Chinach nie pozwoliło Japończykom wiele poprawić swego zdania. Podziwiali cywilizację materjalną Europy, skwapliwie ją naśladowali, a jednocześnie odżegnywali się od produktów intelektualizmu europejskiego. Dziś wyraźnie się tym Europejczykom przeciwstawiają, walcząc z jednej strony z komunizmem sowieckiej Rosji, idącej na podbój Chin, z drugiej z imperjalizmem mocarstw zachodnich, starających się utrzymać za wszelką cenę swe handlowe faktorje. Zresztą konieczności życiowe, ogromny przyrost naturalny, zmuszają Japonję do szukania terenów dla ekspansji.

Włochy przeciw Abisynji.

Czemże są akty, pakty, traktaty, prawo pisane i prawo moralne, gdy ktoś chce wojny? Możemy się o tem przekonać z ostatniego choćby zatargu o Abisynję. Ten kraj, trochę zacofany, ale bądźcobądź należący do Ligi Narodów, nie może jakoś znaleźć dostatecznych środków, które zabezpieczyłyby go przed agresją wojenną czy „półwojenną". Ten ostatni termin może na oko niezrozumiały, stanie się łatwy do pojęcia, jeśli uwzględnimy i tę możliwość, że jeśli już nie przez wojnę stricto sensu, to przez wielką demonstrację wojenną Mussolini ostatecznie osiągnie swój cel i tak czy inaczej oberwie spory kawał abisyńskich terenów. A Liga Narodów będzie to musiała zaakceptować. Mussolini nawet wskazuje podstawę, na której się to stanie. Jest to mianowicie ten artykuł paktu Ligi Narodów, który mówi, że mocarstwa mają prawo roztaczać protektorat nad krajami zacofanemi. Oczywista rzecz, że Abisynja jest zacofana. Ma przecież niewolnictwo, 8 samolotów, pół miljona karabinów i armję chodzącą boso. Stąd tytuł do wejścia na jej teren z misją kulturalną. I Włochy idą na gwałt. Zaopatrują armję w owoce, konserwy, nawet litewskie półgęski, rekrutują ludzi i wielbłądy i ślą pełne po brzegi okręty ze śpiewem, ślą eskadry samolotów, ślą speców, niezrażając się tem, że tam jakiś aeroplan ze sztabowcami marnie zginął, że już 5000 ludzi zapadło na malarję, choć do wojny jeszcze daleko. A Mussolini przemawia i podnieca, coraz to w innym mundurze, z coraz to innej trybuny, z lawety armatniej, z balkonu, z rufy okrętu i t. d. Posłał też swych dwóch synów na front. Cesarz Hailie Selasie widzi więc, że z tą wojną nie są żarty.

Wojna z potomkiem Salomona.

Władca Abisynji, cesarz Hailie Selasie, powołuje się, jak wiadomo, w swym tytule na pochodzenie od królowej Saby i... Salomona i widzi w tem gwarancję, że uda mu się wygrać wojnę z Włochami. Trudno, by przedstawiciel tak świetnej tradycji uległ jakiemuś tam Mussoliniemu, synowi kowala czy nawet reprezentowanemu przezeń królowi dynastji sabaudzkiej. A że tam Włochom, których ¾ ludności żyje w warunkach naszego podgórza, opisanego tak fatalnie w „Grypie szalejącej" — potrzeba zatem kolonji dla poprawy bytu, to dlaczego właśnie te kolonje mają być wycięte z żywego ciała Etjopji? Mussoliniemu jednak ślinka idzie właśnie na te ziemie, gdyż sąsiadują one z dotychczasowemi posiadłościami afrykańskiemi Italji, no i przytem zaokrągliłyby je do jakichś dwu miljonów kilometrów kwadratowych. A to chyba nie bagatela. Ta ekspansja afrykańska Italji niepokoi nietylko Abisynję, ale i szereg innych państw, Japonji nie wyłączając.

Wróżebne 44-ry.

Niepokoją się także Anglicy. Starają się więc zrobić wszystko, by powstrzymać zapędy Mussoliniego. Lecz ten na nic nie zważa, transportuje masy wojska przez kanał Sueski do Erytreji i płaci za to grube miljony. Towarzystwo, eksploatujące kanał, ma złote interesy. Wydaje się więc nierealną groźba zamknięcia go dla transportów wojskowych. Mussolini jest przynajmniej dobrej myśli. Powiada, że nikt nie jest w stanie przeszkodzić Włochom w osiągnięciu ich celu. Podobnie dobrej myśli jest cesarz Selasie, „Lew Juda, pan ziemi i wody, władca dziedzictwa Salomona". Twierdzi on, że musi mu się powieść, gdyż akurat skończył 44 lata, co stanowi wielokrotną szczęśliwej dlań liczby 11-cie. Parę już razy uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa w związku z tą liczbą. Jest on jedenastym synem, wszystko jego rodzeństwo wymarło przytem. W kraju królowej Saby, jak widzimy, duże znaczenie ma kabalistyka. Zobaczymy, czy głównie przy jej pomocy cesarz Selasie wygra wojnę z Włochami?

„Osservatore Romano" o sprawie abisyńskiej.

„Osservatore Romano" w artykule swego dyrektora przypomina słowa Ojca św., wygłoszone z okazji podnoszenia zasług pierwszego wikarjusza Abisynji, o. Justyna De Jacobis, nietylko dzielnego misjonarza i wielkiego Włocha, ale także wielkiego syna przybranej ojczyzny-Abisynji. Pragnienie Ojca św., by sprawa zatargu załatwioną została zgodnie z postulatami miłości chrześcijańskiej, znajduje potwierdzenie w stanowisku mocarstw zainteresowanych. Zarówno Italja, jak i Abisynja, mimo pogłębiających się przeciwieństw, nie opuszczają dróg, umożliwiających porozumienie.

Z PIŚMIENNICTWA

Ku czci Krasickiego. Wykwintny talent Krasickiego odebrał hołd należny. Odbyty we Lwowie w Zielone Świątki zjazd naukowy jego imienia oświetlił twórczość jego wszechstronnie i określił w formułach naukowych udział ziem południowo-wschodnich w tworzeniu kultury ogólnopolskiej. Wystawa pamiątek przedstawiła obrazy, druki, rękopisy, dotyczące Krasickiego i jego epoki. Trwałym pomnikiem tegorocznego jubileuszu powinno stać się krytyczne wydanie dzieł Xięcia Biskupa Warmijskiego i jego korespondencji. Jak to łatwo było przeczuć, Lwów nie zawiódł oczekiwań: oto praca ta jest w dużej mierze dokonana właśnie przez lwowianina — dyr. Ludwika Bernackiego i czeka tylko na druk. (ch)

Najrdzenniejszy język słowiański. W Zielone Świątki w Warszawie obradował Zjazd Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, który zgromadził najwybitniejszych językoznawców z całej Polski... oprócz Warszawy. Ze zgłoszonych referatów niewygłoszony został tylko jeden, natomiast liczba wygłoszonych dosięgła trzynastki. Nad wszystkiemi wywiązywała się bardzo interesująca dyskusja, w której rozkosznym tyranem był znakomity uczony krakowski — prof. Kazimierz Nitsch. Można powiedzieć, że zjazd odbywał się w jego cieniu, gdyż jego indywidualność ciążyła nad wszystkimi bardzo wybitnie. Z tego co prof. Nitsch mówił, najciekawszy był nie jego zasadniczy referat pt *Etymologja ludowa dawniej a dziś*, ale głos w dyskusji na temat referatu prof. Heleny Willman-Grabowskiej *O powstaniu języków literackich*. Jak przedstawiał kwestję prof. Nitsch, do kategorji najrdzenniejszych języków słowiańskich należą języki zachodniosłowiańskie, a więc polski, czeski i łużycki (górny i dolny). Wbrew wszystkim bajkom słowianofilskim, języki ruskie i południowosłowiańskie mają naleciałości obce. Język starocerkiewnosłowiański, którym św. Cyryl przetłumaczył Pismo św., jest językiem sztucznym i nigdy nim nie mówiono. Św. Cyryl wziął rdzenie wyrazów słowiańskich z okolic Salonik i tworzył język nawzór greki, poprostu przerabiał ją po słowiańsku, stąd w języku tym znalazły się takie formy, których w języku prasłowiańskim nigdy nie było. Z języka starocerkiewnosłowiańskiego naleciałości obce przeszły do bułgarskiego, rosyjskiego, względnie pokrewnych; tymczasem polski skażeniu takiemu nie uległ: zachował stosunkowo największą czystość słowiańską! Prof. Nitsch obiecuje wydać na ten temat pracę, a jej uzupełnieniem będzie — powzięta niezależnie — praca dr. Józefa Birkenmajera, który wykazać ma, że jory i jery (t. zw. w języku rosyjskim „twiordyj i miakkij znak") są naleciałością mongolską. Jednem słowem, stare bajeczki słowianofilskie biorą w łeb kompletnie! (ch)

Krzemiński — wielkość zapomniana. Profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie — dr. Konrad Górski pracuje obecnie nad dziełem, które wydatnie pomnoży dorobek naukowy i jego własny, i historji polskiej wogóle. O przedsięwzięciu tem opowiada co następuje: „Obecnie jestem w okresie końcowym zbierania materjałów do większej monografji Stanisława Krzemińskiego. Jest to postać dziś niemal całkiem zapomniana, a należąca do najciekawszych i najpiękniejszych indywidualności naszej kultury w drugiej połowie XIX w.: członek Rządu Narodowego w 1863 r., a potem publicysta, literat, krytyk teatralny, historyk dziejów politycznych i historyk sztuki, myśliciel i moralista, a nadewszystko wielki charakter, człowiek potężnych ukochań i niezmożonej woli, czarem własnej zapalnej indywidualności pobudzający innych do pracy podziemnej nad odrodzeniem duchowem i politycznem narodu. Mam nadzieję, że wciągu najbliższej jesieni zdołam wykończyć tę pracę." Z innego jeszcze względu Krzemiński godzien jest uwagi — z tego mianowicie, że należy do wybitnych ludzi styczniowych, którzy po powstaniu działali właśnie na terenie Królestwa Kongresowego. Według informacyj rodzinnych, dopomógł mu w tem przypadek: urzędowy historyk rosyjski Berg zrobił z niego nieboszczyka, policja więc rosyjska dawała mu spokój, ale ten „nieboszczyk" potrafił zadawać reżimowi rosyjskiemu ciosy bardzo dotkliwe, był bowiem autorem wydawanych zagranicą prac przeciwrosyjskich, ogłaszanych pod pseudonimem Jana z Zarzewia. (ch)

Pierwszy polski literat marynista. Prof. Roman Pollak z Poznania opublikował szczegóły o pierwszym polskim „reportażu" z podróży po Bałtyku, napisanym wierszem. Jest to *Morska nawigacja do Lubeki* Marcina Borzyma-Borzymowskiego z r. 1662. Poemat liczy około pięciu tysięcy wierszy i, jak mówił prof. Pollak, „podobny jest on raczej do dzieła pana Paska" pod względem gawędziarstwa, pod względem zaś obrazowania jest „cały nasycony morzem, szumiący wiatrami morskiemi". Utwór Borzymowskiego — to daleki poprzednik dzisiejszej, coraz wspanialej się rozwijającej poezji i powieści marynistycznej. Na jesieni ukaże się antologja poezji marynistycznej w opracowaniu Zbigniewa Jasińskiego, ale zawrze tylko dorobek lat ostatnich. (ch)

Rymotwórca z czasów powstania styczniowego. Do bibljoteki Muzeum Narodowego w Warszawie ofiarowano rękopisy, stwierdzające, że autorem popularnej w czasach popowstaniowych pieśni *Boże Ojcze, Twoje dzieci płaczą, żebrzą lepszej doli*... był Leonard-Józef Dąbrowa-Dąbrowski. Na końcu *Zbiorku modlitw*, ozdobnie przepisywanego przez niego w latach 1850—1857, mieści się także autograf pieśni, którą Dąbrowski ułożyć miał podobno w r. 1864 i wpisał do modlitewnika po wydobyciu go z ziemi, gdzie go zakopał na rok w obawie rewizji. Do *Zbiorku modlitw* dołączony jest plik papierów osobistych Dąbrowskiego, z których wynika, że urodził się w r. 1815 w Warszawie, w r. 1831 należał do pierwszego pułku Gwardji Narodowej w r. 1857 „otrzymał medal bronzowy na pamiątkę wojny w latach 1853—1856 ustanowiony" i że był urzędnikiem Banku Polskiego. Inne utwory Dąbrowskiego nie są znane. Trudno go nazwać poetą, ale temniemniej stwierdzić trzeba, że był świetnym tłumaczem uczuć swej epoki na szczere, proste rymy. Gdyby nie to, pieśń jego nie zyskałaby takiej popularności. (ch)

Autografy dla Polskiej Akademji Literatury. Według komunikatu oficjalnego, na posiedzeniu Polskiej Akademji Literatury w końcu maja rb „uchwalono wezwać pisarzy, aby ofiarowali do archiwum Polskiej Akademji Literatury materjały, dotyczące ich puścizny literackiej, manuskrypty, listy i t. p." Uchwała ta — może świadomie, a może nie — jest wprowadzeniem w życie najszczerszych pragnień Żeromskiego. W wywiadzie z grudnia 1924 r., mówiąc o zadaniach organizacji pisarzy, Żeromski skarżył się: „Gdzie naprzykład podziewają się rękopisy naszych najwybitniejszych pisarzy? Giną w redakcjach i drukarniach. Wszędzie na świecie rękopis jest bardzo cennym dokumentem. Tylko nie u nas." Najjaskrawszym przykładem takiego marnotrawstwa jest postępowanie jednej z drukarń krakowskich. W r. 1923 w okresie znanych rozruchów kierownictwo drukarni, korzystając z tego, że robotnice nie mogły wracać do domu, nakazało im porządkowanie strychu, na którym się nagromadziły ogromne złoża rękopisów. Ponieważ drukarnia ta drukowała utwory najwybitniejszych pisarzy z okresu Młodej Polski, zagładzie uległy przedewszystkiem ich utwory. Polska Akademja Literatury będzie miała obowiązek czuwać, ażeby fakty takie nie powtórzyły się więcej. (ch)

Nowe przekłady na czeski. W ostatnich miesiącach ukazały się w przekładzie czeskim dwie powieści polskie. Jedna — to *Rycerz Chrystusowy* Marji Czeskiej-Mączyńskiej, przedstawiająca koleje życia św. Wojciecha; druga — to *Skrzydlaty chłopiec* Kornela Makuszyńskiego (dla młodzieży). (ch)

Conrad rysownik. Kulturalnie redagowany dwutygodnik wileński *Pax* wślad za *The Saturday Review of Literature* zamieścił artykuł o własnoręcznych rysunkach Josepha Conrada, pod którym to pseudonimem ukrył się wielki pisarz angielski — Konrad Korzeniowski. „Conrad nigdy nie pozwolił ilustrować swych dzieł — pisze Jerzy Ciechocki — Sam jednak czasem portretował kilku sztrychami pióra lub ołówka osoby, które zajmowały jego umysł." Pomijając pisarzy i malarzy w jednej osobie, zaznaczyć warto, że Conrad nie był jakimś specjalnym wyjątkiem. Szereg akwarel pozostało po Juljuszu Słowackim, Kraszewski był nietylko rytownikiem, ale i malarzem obrazów historycznych, z bliższych zaś nam pisarzy wymienić można chociażby Żeromskiego. W posiadaniu Zygmunta Wasilewskiego w Warszawie znajduje się obraz olejny, przedstawiający Łysicę, malowany przez Żeromskiego w Szwajcarji, gdy pracował jako bibljotekarz w Rapperswilu. Dr. Józef Birkenmajer opublikuje w niedługim czasie humorystyczne rysunki Sienkiewicza. (ch)

Popularność Drużbackiej u współczesnych. W jednej z bibljotek prywatnych w Warszawie w rozklejonej okładce książki z r. 1762 znaleziono parę kartek z rękopisów ówczesnych. Między innemi mieściły się tam zapiski księgarza, świadczące, że Elżbieta Drużbacka — najwybitniejsza poetka czasów saskich była osobą popularną jeszcze za swego życia. Według prof. Józefa Tretiaka, Drużbacka (z domu Kowalska) — wdowa po skarbniku żydaczewskim ostatnie lata życia spędziła w klasztorze bernardynek w Tarnowie, gdzie zmarła „prawdopodobnie nie wcześniej jak 1762 r.". (ch)

Sprawa reformy ortografji. Zapoczątkowana przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego sprawa reformy ortografji polskiej załatwiona zostanie niewcześniej niż w końcu roku. Dopiero w tym czasie spodziewać się należy postanowień Komitetu Ortograficznego, obowiązujących w całej Polsce. (ch)



Konrad z Erynjami

Z TEATRU

Omawiane przez nas poprzednio „Wyzwolenie" Wyspiańskiego, na jesieni znów będzie grane. Dlatego dajemy szereg zdjęć z ważniejszych scen. Wielkie dzieło Wyspiańskiego zasługuje na głębszą uwagę kulturalnej publiczności. Przyniesie jej ono niejedną poważną refleksję nad tajemnicami naszej psychiki narodowej, i dziełem wyzwolenia w niej „anielskiej duszy spod rubasznego czerepu".

„Stare wino", wystawione w Narodowym, jest sobie nieskomplikowaną komedją angielską o takim starszym panu, który ma już nawet wnuki i prawnuki, ale wciąż jeszcze jest dość jary, by zaczynać na nowo od syna.

Żeni się więc potajemnie przed swą pierwszą rodziną, składającą się z pięciu pokoleń i zażywa szczęścia „trzeciej młodości".

Na tem tle wynikają zabawne nieporozumienia i przygody, w których znakomicie umieli się znaleźć dobrana para artystów Junosza Stępowski i Modzelewska.

Komedja angielska w dzisiejszych czasach, które przyzwyczaiły nas do ataków na rodzinę i jej ośmieszania, jest pochwałą ogniska domowego, szczęścia małżeńskiego i radości ojcostwa.

Jej prostota w stawianiu sprawy stanowi cenną zaletę, gdyż harmonizuje z prostą i w gruncie rzeczy „po angielsku" szczerą atmosferą.

Sztuka ma kilka dobrych powiedzeń i określeń i doskonale pokazuje, że młodość i tężyzna jest czemś względnem, jeśli człowiek czuje się młodo i zdrowo.

Caslleveta „Król" jest dziś już klasyczną farsą, satyrą na głupstwa demokracji.

Ten fabrykant, grający sobie socjalistę, a ubiegający się o królewskie zaszczyty, jest figurą wprost typową, jak typową jest jego karjera, aż do teki ministerjalnej włącznie. Teki, otrzymanej przytem w sposób bardzo kuluarowo-buduarowy.



Prymas

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

DZIWNI LUDZIE.

Fryderyk II, król pruski, zwiedzał pewnego razu więzienie. Skazańców ustawiono szeregiem, a król szedł i zapytywał każdego, co takiego zbroił i za co właściwie tu siedzi. Okazało się, że wszyscy więźniowie dostali się pod klucz tylko przez omyłkę sprawiedliwości ludzkiej. Każdy był niewinny, jak nowonarodzony baranek. Jeden tylko na pytanie króla odpowiedział szczerze, że został zasądzony za popełnione zbrodnie i że go jeszcze stosunkowo łagodnie ukarano.

Uśmiech zaigrał na wargach Fryderyka.

— W takim razie — rzekł z akcentem zdziwienia — co ty tu robisz pośród tych porządnych ludzi? Dla ciebie tu niema miejsca!

Zwracając się do komendanta więzienia rozkazał:

— Zwolnić go!

Nietylko w Prusach żyją tacy dziwni ludzie, co „niewinnie" zapełniają więzienia. Znaleźć ich można w każdym kraju, są także w Polsce. Idą na ławę oskarżonych i za kratę więzienną właściwie „niewinnie", tylko i jedynie przez omyłkę sądów. I kto ma możność zetknięcia się z dzisiejszymi więźniami, ten usłyszy napewno w ich ustach odpowiedzi — z czasów Fryderyka...

Powyższy objaw da się zauważyć i poza murami więzień. Ludzie stale broją, grzeszą, przynajmniej błądzą. Bardzo często popełniają tak jaskrawe błędy, że według przysłowia ślepyby namacał i zobaczył. A jednak zawsze się potrafią wytłumaczyć, uniewinnić. Po bliższem rozpatrzeniu sprawy okaże się, że powody błędu tkwią gdzieindziej. Mianowicie winien jest nie błądzący, nie grzesznik, lecz jego bliźni.

Nieraz aż oczy otwieramy ze zdumienia.. Co za dziwni ludzie! Sam siebie każdy będzie bronił do upadłego, będzie się uniewinniał, a zbrodnię, winę i błąd widoczny, niezaprzeczony, będzie składał na innych. On nie winien, oni winni... Jeśli on zbłądził, to tylko przez nich!

I gdyby tak obejść cały świat i na duszę każdego popatrzeć jego własnemi oczami, to otrzymalibyśmy przedziwny rezultat: — Kulę ziemską zamieszkuje dwa miljardy ludzi niewinnych, ludzi porządnych. A gdyby przeciwnie zapisywać informacje wszystkich o sąsiadach, o bliźnich, należałoby chyba umrzeć z rozpaczy i zgrozy! — Na pięciu lądach — odliczywszy małe dzieci — bytuje conajmniej miljard łotrów, zbrodniarzy spod ciemnej gwiazdy, szubieniczników i potworów w ludzkiem ciele. I jeśli jeszcze Bóg utrzymuje ten świat w istnieniu, to tylko przez wzgląd na rzeszę niemowląt i ssących...

Mimowoli przypominają się słowa Chrystusa: „Widzisz źdźbło w oku brata swego, a tramu w oku swem nie widzisz! — Obłudniku"! My jednak zwykliśmy dziś używać subtelniejszych, delikatniejszych wyrażeń, bardziej wersalskich, zato bardziej odbiegających od prawdy Chrystusowej. Złodziejstwo nazywamy defraudacją, oszukaństwo sprytem, kłamstwo polityką, a powyżej odmalowany objaw psychologiczny najczęściej określamy słowy: „Dziwni ludzie"!

Dziwni i nie dziwni ludzie. Każdy człowiek wyszedł z ręki Boga. Z najlepszego źródła wywodzi swój początek, dąży ku Dobru Nieskończonemu, — nie dziw, że tę świadomość w sobie nosi i nazewnątrz, oficjalnie, chce w oczach wszystkich uchodzić za porządnego człowieka. Choćby nawet w sercu czuł się mocno sponiewieranym moralnie, rozumuje zupełnie słusznie, że wnętrza serca nikt nie widzi, a nazewnątrz obowiązuje „dobry ton" — zakreślone przez Boga ludziom idealne przeznaczenie.

Z tego więc względu nie są dziwni ludzi Dziwni są natomiast dlatego, że tej samej miary „dobroci" nie stosują do bliźnich. Bo zważmy tylko. Ci sami, którzy niczego nie pominą dla swego usprawiedliwienia, nawet gwałt umieją zadać sumieniu, byle je zmusić do milczenia, a siebie przedstawić w pochlebnem świetle, teraz nagle zmieniają się zupełnie. Ani mowy o uniewinnieniu bliźniego. W odruchowych sądach zawsze winien, napewno winien. Jeśli nie można mu jawnie na szyi zawiesić etykiety: „zbrodniarz" — to choć obdarzą go podejrzeniem. Jeśli nie głośno, to bodaj pocichu w duszy. I gdy we własnej sprawie wyszukują możliwe i niemożliwe powody, świadczące o ich niewinności, to w sprawie bliźnich swoich gromadzą możliwe i niemożliwe powody na ich potępienie. Wyszukiwać powody niewinności bliźniego? — Ktoby się nad tem mozolił! Niema głupich!

Oto są „dziwni ludzie"... Istoty rozumne, szlachetne, korona wszelkiego stworzenia — gdy o nich samych chodzi. Głupcy, niegodziwcy, bestje i szakale — gdy mowa o bliźnich.

Ktoby z laską pielgrzymią przeszedł świat — pisał pewien autor — ten wszędzie znalazłby samych sędziów, ani jednego winowajcy. Wszyscy zasiadają na wysokich krzesłach sędziowskich i sądzą Ach, prawda, są winowajcy. Ręka sędziego, ściągnięta wdół, wskazuje na nich. Całe tłumy! Wszyscy, którzy nie mieli szczęścia podobać się sędziemu, to są skazańcy bez apelacji. Cóż to za jedni? Na czem polega ich wina, ich zbrodnia? Czy niema dla nich miłosierdzia, ratunku, obrony? Niema miłosierdzia. To są... „inni ludzie" — bliźni!

Tak, to są tylko bliźni, których każdy chrześcijanin winien kochać, jak siebie samego.

Przed wielu laty tłumy żydostwa, poszturchując i lżąc, przyprowadziły do Chrystusa dziewczynę, schwytaną na grzechu cudzołóstwa. Domagały się wyroku z Jego ust. „Kto z was bez grzechu — brzmiał wyrok — niech na nią pierwszy rzuci kamieniem"! I pochylony, pisał ich grzechy na piasku świątyni. — Jeden za drugim, jak niepyszni, wymykali się sędziowie. Pozostał tylko Chrystus i przebaczył grzesznicy. „Żaden cię nie potępił i ja cię nie potępię. Idź i nie grzesz więcej"!

Cudowne lekarstwo dla „dziwnych ludzi" pozostawił właśnie Zbawiciel na tę wiecznie jątrzącą ranę: „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni, nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni! Jaką miarą mierzycie, taką wam odmierzą"!

Niechaj wszyscy „dziwni ludzie" często biorą to lekarstwo Chrystusowe.

Jan Czar.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Kiedy człowiek dojdzie do tego, że w żadnem stworzeniu nie szuka pociechy, wtenczas dopiero zaczyna czuć doskonałe rozmiłowanie w Bogu; wtenczas, jakkolwiek się rzeczy obrócą, on zawsze spokojnym będzie.

Wtenczas ani go pomyślność zbyt nie uweseli, ani przeciwność zasmuci; lecz z zupełną ufnością oddaje się Bogu, kóry mu jest wszystkiem we wszystkiem; dla którego nic nie ginie, nic nie umiera, lecz wszystko żyje i służy na każde skinienie Jego.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

CO PRZYNOSI POCZTA?

LISTY!

Przebrzmiała forma!

Dziś pisze się karty, wysyła depesze, mówi się przez radjo, odbiera się z zagranicy rozmowy radjowe — wszystko byle jaknajprędzej, jaknajkrócej, jaknajzwięźlej!

A jednak, jednak listu, właśnie listu, wyczekujemy od najbliższych z rodziny, witamy list radośnie od przyjaciół, chwytamy go skwapliwie od interesantów. Dla czego? Dlatego, że w każdym znajdujemy dopiero cząstkę prawdziwą tego, czego nie mamy ani w karcie, ani w depeszy, ani w radjo, to znaczy, niema tej zamkniętej koperty, pod którą dopiero kryje się indywidualizm piszącego.

I dla tego właśnie zawsze zwracamy się do naszych Szanownych Czytelników z prośbą, aby chcieli łaskawie obdarzać nas korespondencją, z którą razem nawiązuje się bliższe porozumienie, które często nasuwa nam myśli o tem co pisać należy, która łączy nas z każdą Rodziną polską ścisłymi węzłami, a tego właśnie pragniemy.

Wakacje minęły. Dzieci wracają do nauki. Ten i ów wyjeżdżał, zbierał nowe wrażenia, ten kto nie wyjeżdżał, ma jednak niezawodnie dużo przemyśleń w tej epoce, która dostarcza nam setki, nietylko wiadomości i wrażeń, ale ileż wstrząsów głębokich, ileż trosk o cały kraj, więc zanosimy prośbę, aby korespondencja od naszych Czytelniczek nas nie zawodziła. A przyrzekając służyć, wedle sił całą naszą dobrą wolą w odpowiedziach, czego w odnośnej rubryce nie zaniedbujemy, pozwalamy sobie przytoczyć treść listów naszych korespondentów, które niezawodnie zainteresują szersze Koła Czytelników, tem więcej, że niejedna z matek śledzi myślą niezmierzone oceany, po których fale niosą na statkach jej ukochania, że niejedna dziewczyna przechodzi kursy pływackie na naszych jeziorach, że zresztą wszystko to są dzieci polskie, a więc wszystkie nam drogie i wieści od nich ciekawe.

Oddział Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej, w Warszawie, który wiele liczy członkiń, spośród naszych stałych Czytelniczek, zapewnia nas, że mało ma chwil dostarczających równie miłych wrażeń nad te, jakie im przynosi — poczta.

Bo oto: Uczeń „Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni," przysyła wdzięczne słowa „Oddziałowi" za daną pomoc w ukończeniu Szkoły, zawiadamia o zdobyciu dyplomu oficerskiego i z radością donosi, że już nazajutrz odjazd statku, do którego załogi został zaliczony, na linji: Gdynia—Ameryka: Inny — niemal tej samej treści, z meldunkiem o otrzymaniu dyplomu oficera marynarki handlowej. Czeka jednak w „Domu Marynarza" na swą kolej do odjazdu statku handlowego. A jeszcze jeden dzielny chłopiec. Szkołę skończył. „Dar Pomorza", statek szkolny — handlowy, piękny, jak najpiękniejsza panna ze swemi rozpiętemi białemi żaglami, wiezie go **naokoło świata.** Statek, boryka się ze sztormem. Mężnie stawia czoło burzom i wichrom, ale w portach, które nigdy o istnieniu Polski nie słyszały, roznosi wieść, że Ona istnieje, żyje, pracuje a dla bandery naszej zdobywa należne miejsce i szacunek.

Tam wśród załogi, mamy tego dzielnego chłopca-marynarza, który przysyła nam karty z egzotycznych krajów: Panamy, Honolulu, Yokohamy, Singapore, Durbanu. Ostatnio z Hong-Kong. Nie żałuje dowodów pamięci. W liście serdecznie dziękuje za list, który od nas otrzymał w Japonji, pisze: „Cieszę się bardzo, że podróż nasza na „Darze" obudziła w kraju zainteresowanie, czego wyrazem są liczne listy przesyłane pod naszym adresem z całej Polski, w lwiej części przez członków L. M. K. Życie nasze interesuje, bo jest istotnie zupełnie odmienne od życia lądowego. Tam ludzie, dążąc do jednego celu, wybierają często drogi krańcowo różne. My, dążąc do tego samego celu podniesienia potęgi Polski i rozsławienia Jej imienia na całym świecie, wybieramy wszyscy tylko jedną drogę: Pracujemy usilnie nad ukształtowaniem naszych charakterów, pracujemy usilnie sami nad sobą poto, ażeby już w niedalekiej przyszłości być użytecznymi obywatelami Polski, w całem tego słowa znaczeniu. Ufamy w swoje siły, a gwarancją tego jest umiłowanie obranego przez nas zawodu."

„Morze, ten potężny żywioł, pisze dalej nasz kochany korespondent, jest najlepszą szkołą życia. Uczy cenić własną pracę i szanować cudzą. Morze, z najbardziej chwiejnych i niezdecydowanych charakterów, czyni ludzi stanowczych. „Każdy „Daru" wychowanek, jest najlepszy morza syn", mówi nasza piosenka, którą chętnie śpiewamy".

A potem opis dnia powszedniego: pracowity, „od godziny do godziny na odpowiedzialnych stanowiskach, z godzinami przeznaczonemi na zdobywanie wiadomości teoretycznych i praktycznych: nawigacji, prawa morskiego, wiedzy okrętowej, obserwacji astronomicznej, obok tego matematyki i języków, polskiego, angielskiego i niemieckiego. W portach praca gorączkowa, około oczyszczania statku, żeby miał zawsze piękne oblicze, a w niedzielę Msza św., czytanie w bibljotece, pisanie listów, jak ja — pamiętniczka."

Czy to nie rozkosz odbierać taki list!

A co piszą nasze studentki? Reprezentując „Oddział Kobiet" na spływie, wioząc wodę z Bałtyku — aby ją zbratać z wodą Morza Czarnego. Zespół Spływu, zainicjowany przez Jenerała St. Kwaśniewskiego, wyjechał z Kołomyji, punktu zbornego — dn. 15 lipca. Kajaków miał 80 i kilka, uczestników 180.

A nasze panienki z pierwszego postoju, to znaczy z Czerniowiec już przysyłają kartę: „Jesteśmy w Rumunji! Czujemy się świetnie. Mamy cudowną zaprawę techniczną, bo zaraz po wyjeździe z Kołomyi drugi kajak — najechał na nasz i zrobił nam otwór średnicy 40 cm. Załatałyśmy same i płyniemy, zachwycając się cudnym krajobrazem. Towarzystwo b. miłe, sygnał odjazdu. Czas na nas“. Nowa Sulita i następny etap Radauti: „Wszystko w porządku. Droga śliczna. Masa kamieni, trzeba uważać. Dużo serdeczności doznajemy od Rumunów.“

A dalej: „Trzymamy się dobrze, a co ważniejsze kajak również. Rozmaicie nas niebo Rumunji przyjmuje, raz żarem pali — to deszczem zalewa. Stoimy w Sculeni. Wszędzie wita nas ludność z orkiestrą, przemowy, owacje na każdym postoju. Doznajemy nowych wrażeń. Wszystko zniknęło z pamięci. Pozostaje jedynie **trasa.** 40, 50, 80 kilometrów. Kamienie, wiry... Nieznany kraj... Daty nie pamiętamy“.

Rękopis dziś oddać trzeba do składania, a pewno jeszcze niejedna karta, niejeden list przyjdzie taki, który świadczyć będzie o nowo rozbudzonem naszem życiu żeglarskim, o bra-

taniu się z wodami oceanów, mórz, rzek i jezior naszych. Kraj mamy w wodę obfity. Krajobrazy cudowne. Zaznajamiać się z nimi, zachęcać się wzajem do ich poznania i kochania i nieżałować słowa do Oddziału Ligi M. i K. czy do Redakcji, aby się niemi cieszyła i dzieliła z Czytelnikami, którzy chętnie będą te wiadomości chwytać.

L. Kotarbińska

MUZEUM PRZEMYSŁU I ROLNICTWA ZŁOŻYŁO HOŁD Ś. P. MARJI SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Zarząd Muzeum Przemysłu i Rolnictwa podjął piękną inicjatywę, której urzeczywistnienia byliśmy świadkami.

Oto, na gmachu własnym przy ul. Krakowskie Przedmieście 66, wmurowana została tablica bronzowa, na której widnieje następujący napis: „W tym gmachu, w pracowni fizycznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, kierowanej przez profesora J. Boguskiego, w latach 1890—1891, rozpoczęła pracę na polu naukowem Marja Curie-Skłodowska 1864—1934. Odkrycie polonu i radu — 1898.“ Wobec rektorów wyższych uczelni, delegatów władz, rodziny, kolegów i przyjaciół genjalnej uczonej polskiej, na zamkniętym dziedzińcu gmachu z mównicą, ustawioną właśnie pod oknem, pokoju, w którym zaczynała swe studja doświadczalne młoda wówczas kobieta, przemawiał pierwszy prof. polit. warsz. p. Kalinowski, podkreślając łączność naszej rodaczki z ówczesnym uniwersytetem i pracownią fizyczną, gdzie pod kierunkiem prof. Boguskiego, p. Marja Skłodowska w latach 1890—1891 — rozpoczynała swą pracę naukową, zachowując i potem bliską łączność z Muzeum i mieszczącą się na drugiem piętrze redakcją „Wszechświata“.

Z mównicy, nad którą widniał portret wielkiej uczonej, przemówił pierwszy obecny kierownik pracowni fizycznej, prof. polit. warsz., p. Kalinowski. Podkreślił łączność naszej rodaczki z ówczesnym uniwersytetem i pracownią fizyczną, gdzie, pod kierunkiem prof. Boguskiego, p. Marja Skłodowska w latach 1890—1891 rozpoczynała swą pracę naukową, zachowując i potem bliski kontakt z obecnem Muzeum i mieszczącą się na drugiem piętrze redakcją „Wszechświata“.

Druga przemawiała prof. Dorabialska z uniwersytetu lwowskiego, która dała rys historyczny pracy zmarłej badaczki i podkreśliła trudne warunki, w jakich w Paryżu początkowo pracowała. P. Dorabialska omówiła epokowe w fizyce prace Skłodowskiej-Curie nad promieniotwórczością i podkreśliła badawczy talent uczonej.

Prof. Wertenstein mówił o metodycznych zdobyczach zmarłej. B. premjer, prof. Polit. Warsz. Ant. Ponikowski zobrazował Skłodowską-Curie jako obywatelkę, podkreślając jej zasługi rodzinne i społeczne, które wszczepione miała przez matkę, przełożoną jednej z najlepszych pensyj żeńskich i ojca prof. matematyki w gimnazjum, z którego Marja Skłodowska wyszła ze złotym medalem. Prof. Ponikowski podkreślił wielkie zasługi siostry p. Curie — p. Dr. Bronisławy Dłuskiej, przy budowie „Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie“ przy ul. Wawelskiej, w Warsz., której praca i starania, umiały pobudzić ofiarność: Państwa, Rządu, osób prywatnych, dla stworzenia wzorowo zorganizowanego zakładu leczniczego wraz z pracowniami naukowemi dla badania strasznej klęski ludzkości, jaką jest choroba raka. Zbudowanie tej doniosłej placówki, jest dziełem p. Dr. Bronisławy Dłuskiej, która zaufania ogólnego nie zawiodła. W nagrodę ma wdzięczność cierpiących, którzy niejednokrotnie, znajdują tam ratunek, a chlubę przynosi miastu, które szczycić się może — wzorowo zbudowaną i świetnie prowadzoną pod dyrekcją Dr. Łukaszczyka Instytucją.

L. K.

KONGRES MIĘDZYNARODOWY APOSTOLSTWA MORZA

W dniach od 4 do 7 października r. b. odbędzie się w Londynie pod przewodnictwem arcybiskupa Westminsteru, Hinsleya, międzynarodowy kongres katolickiej organizacji „Apostolatus Maris“.

Idea Apostolstwa Morza powstała, jak wiadomo, w Anglji, skąd szybko rozszerzyła się po innych krajach, rozporządzających flotą i posiadających dostęp do morza. W r. 1931 na konferencji w Londynie, której przewodniczył nieodżałowany kardynał Bourne, ukonstytuowała się międzynarodowa rada Apostolstwa Morza („Apostolatus Maris International Council“ lub w skrócie „AMIC“), obejmująca przedstawicieli Anglji, Francji, Holandji, Niemiec i Hiszpanji. Siedzibą rady był z początku Glasgow, obecnie zaś przeniesiono ją do Londynu.

Zadaniem Apostolstwa Morza jest rozszerzenie Akcji Katolickiej na wszelkie działy zawodu żeglarskiego i marynarskiego. Popierane we wszystkich krajach przez rządy, troszczy

się ono o organizację duszpasterstwa morskiego, zakładanie kaplic na okrętach, tworzenie katolickich domów marynarzy w portach, dobór kapelanów morskich i t. p.

Działalność Apostolatus Maris doznała w ostatnich czasach poważnych utrudnień w hitlerowskich Niemczech, gdzie, jak wiadomo, wydalono z granic państwa przywódcę tej akcji, ks. H. A. Reinholda. W Polsce gorliwym propagatorem Apostolatus Maris jest biskup pomorski, J. E. Ks. St. Okoniewski, z Pelplina, który jest gorącym orędownikiem naszego wybrzeża, Gdyni i opiekunem marynarzy.

J. E. Ks. Biskup St. Okoniewski cieszy się też miłością całego Pomorza i wszystkich, którzy mają sposobność słyszeć jego natchnione gorącym patrjotyzmem przemówienia i znają całą jego błogosławioną działalność dla powierzonej jego opiece dzielnicy.

M.

NIC NA KREDYT!

Nadchodzi niezawodnie ciężki okres w roku. Szkoły, a więc: książki, mundurki, tornistry, kajety, ołówki, setki drobnych niby a w sumie dużych wydatków.

Niebawem na bose nóżki, trzeba już kłaść pończoszki, czy skarpetki. Letnie sukienki schować. Jesienne płaszczyki odświeżać, podłużać. Dzieciaki porosły. Śniadanka szykować. Domy porządkować. Myć, czyścić, szorować. Wszystko bez grosza się nie zrobi. Każde poruszenie — to wydatek.

Z czego?

Pensja już dźwiga obciążenia spłat, podatków i niepodatków, praca zarobkowa, dobra jeśli jest, a jeśli jej niema, trzeba się o nią dopiero starać, zabiegać. Ciężko. Ani słowa.

Ale: cerować, łatać, nicować, wszystkie robić wysiłki ochronne przed wydaniem gotowego grosza, by nie brać **nic na kredyt** i **nic na spłaty.**

Z przerażeniem słuchałam zwierzeń właścicielki sklepu spożywczego, która mi mówiła, że na rachunkach ma duże tysiące złotych i to u takich pań, które doprawdy, tej rubryki nie powinny stwarzać...

Każdy wydatek przemyśleć, niejeden opóźnić, pamiętać, że czas przetrzymuje chętnie potrzebę, jeśli jej groszem gotowym pokryć nie można, bo wszelki brak jest zawsze lepszy od ciężaru, jakim jest dla uczciwego człowieka **dług.**

Dług, to brak spokoju, to zmącenie każdej wolnej chwili, to spędzanie z oczu snu, który jest niezbędnym skrzepieniem organizmu. Dług to ta wieczna krętanina rachunku, to niemożność równowagi budżetu, to wróg wszelakiego ładu i porządku. — Oczywiście bywają klęski życiowe, choroby, leczenie ich, wypadki, okradzenia tak dziś częste, które wytrącają wszelką rachubę, ale w normalnem życiu, wszystkiego się zrzec, wszystkiego sobie odmówić, byle niezaciągać długów i nie płacić rat. Bo zwykle dzieje się tak, że zanim zapłacę ratę wiosenną, przychodzi lato, a potem jesienne i zimowe wydatki zastają budżet obciążony rachunkami nieskończonemi z miesięcy poprzednich.

A ponieważ nie zanosi się na poprawienie warunków naszych materjalnych, ponieważ nie możemy liczyć na nowe źródła zarobków, ponieważ, przeciwnie niema domu, niema rodziny, któraby nie czuła się zobowiązana dawać pomocy innym jeszcze od niej mniej zasobnym, albo zupełnie ubogim, więc ratunek dla ładu musimy jedynie znaleźć w ograniczeniu do minimum potrzeb naszych, byle uchronić się od rat i kredytu, które czasem mogą być usprawiedliwione, ale niemogą wejść w normalne towarzyszenie naszemu dość często trudnemu w obecnej chwili — bytowania.

Mrówka.

60 LAT PRACY SIÓSTR FELICJANEK POLSKICH W AMERYCE

60 lat temu, 20 listopada 1874 r. przybyły pierwsze felicjanki — w liczbie pięciu — do Ameryki, sprowadzone tam przez niezapomnianego pioniera polskości za oceanem, ś. p. ks. Józefa Dąbrowskiego, twórcę seminarjum polskiego w Orchard Lake.

Pierwsze siostry felicjanki zamieszkały w drewnianym klasztorze, który zaraz w r. 1875 został doszczętnie zniszczony przez dwukrotny pożar. Z czasem zgromadzenie to przyjęło się w wielu środowiskach polskich, zyskując sobie wszędzie uznanie i zaufanie duchowieństwa i wiernych, zwłaszcza przez swą wydatną pracę w szkołach parafjalnych. Do tej pracy w szkołach przygotowywał zrazu ś. p. ks. Dąbrowski sam, w wielkiej mierze, siostry felicjanki, stworzywszy przy pomocy Matki M. Kajetany zawiązek pierwszego polskiego seminarjum dla nauczycielek, w którem sam udzielał nauki religji, języka polskiego, historji, matematyki, nauk przyrodniczych, rysunków i t. d.

Jakie rozmiary obecnie po 60-ciu latach przybrała działalność sióstr felicjanek, świadczą poniższe dane statystyczne. Zgromadzenie ma tam dziś: sześć prowincji — mianowicie: prowincję Ofiarowania Najśw. Marji P. w Detroit., Mich., prowincję Niepokal. Serca Marji w Buffalo, N. Y., prowincję Matki Boskiej Dobrej Rady w Chicago, Ill., prowincję Niepokalanego Poczęcia N. M. P. w Lodi, N. J., prowincję Matki Serca Jezusowego w Coraopolis, Pa, oraz prowincję Matki Boskiej Anielskiej w Enfield, Conn.; domów macierzystych 6, szkół parafjalnych, powszechnych 8-mio klasowych 208, gimnazjów wyższych z kursem handlowym 14, seminarjów nauczycielskich 6, pensjonatów 6, internatów 6, zakładów dla sierot — chłopców i dziewcząt — 8, przytułków dla starców 1, ochronek 9, domów dla pracujących dziewcząt 3, dzieci w szkołach parafjalnych powszech. 230.802, w gimnazjach i seminarjach 1.152 oraz sierot w zakładach 2.434. Liczba sióstr zatrudnionych w 6-ciu prowincjach amerykańskich wynosi 3.175.

Czytajcie i rozpowszechniajcie „Rodzinę Polską"

WYSZYCIA DLA DZIECI

Jeżeli chcemy wyrobić w dzieciach zamiłowanie do piękna w przyrodzie i w sztuce, musimy od najwcześniejszej młodości zwracać im uwagę na kwiaty, ptaki, motyle, porównywać żywe stworzenie z rzeźbą, malarstwem lub haftem. Dobierajmy więc zabawki estetyczne, piękne a przedewszystkiem zbliżone do rzeczywistości, a nie zawracajmy im główek modnemi maszkarami. Jeżeli kupujemy lalkę, to przedewszystkiem powinna mieć miły wyraz twarzy, a nie jakieś zezowate oczy, lub czerwone kółko, zamiast ust lub nosa.

Po zabawkach, przyjdzie kolej na ubranie, zwłaszcza u dziewczynki, w której zamiłowanie do stroju budzi się bardzo wcześnie. Sukienki i fartuszki dla dziewczynek, to olbrzymie pole do pracy dla dobrej matki, która w przeróżny sposób może je zdobić haftem zwłaszcza ludowym.

Ażeby czytelnikom Rodziny Polskiej ułatwić tę pracę, podajemy dwa wzory z okolic Stanisławowa w Małopolsce. Szerszy wzór można z powodzeniem wyszyć na sukience z szarego, niezbyt grubego płótna, umieszczając wyszycie przy gorsie, na rękawkach lub na dole spódniczki. Na fartuszku zaś wokoło szyjki i na kieszonkach.





Wzór ten w oryginale tak się przedstawia: duże kwiaty wyszyte ściegiem płaskim jak to widać na rysunku, są w kolorach, szafirowym, niebieskim i różowym, serduszka mają środki wiśniowe, a obwiedzione są żółtym łańcuszkiem. Mniejsze kwiatki mają środek żółty, płatki szafirowe, szypułki i listki mchowo zielone, wąsy zaś zakręcone z łańcuszka żółtego. Wzór ten jest bardzo praktyczny, gdyż składa się z poszczególnych bukiecików, które można ułożyć na linji prostej, lub owalnej. Nadaje się również do umieszczenia w narożniku, najpraktyczniej jednak ułożyć go najpierw na kalce w odpowiedniej formie, a następnie przekalkować go na płótno. Drugi wzorek, węższy, ma różyczki pomarańczowe, lub czerwone składające się z kilku płatków; wyszyjmy je więc w ten sposób, ażeby płatki przy szypułce były jaśniejsze, te zaś, które okalają środek, oznaczony na wzorze krzyżykiem, powinny być ciemniejsze. Liście i szypułki w kolorze zielonym, lecz starajmy się dobrać odcień zielony do barwy liści różanych, ażeby były jaknajbardziej podobne do naturalnych.

Korzystając z lata, powinniśmy studjować barwy kwiatów i liści, układ płatków kwiatowych, skręt różnych wąsików i szypułek, ażeby wyszyte przez nas kwiaty nie raziły sztucznością.

Marja Stefkowa.

DZIECINNY SZLAFROCZEK I BIELIZNA

Jesienią każda matka napewno musi pomyśleć o przejrzeniu garderoby dziecinnej, bo albo z niej dziecko wyrosło podczas lata, albo też zniszczona, wymaga zastąpienia innem.

Z nastaniem chłodów, wskazanem jest, by dziecko wstając z łóżka, miało ciepły szlafroczek do narzucenia.



Podajemy taki model, który należy wykonać z flanelki. Krój jego prosty i równie dobrze może służyć dla dziewczynki, jak i dla chłopca.

U góry na rysunku widzimy fartuszek ozdobiony stebnówką i haftem, z dużą kieszenią pośrodku, pozatem kombinację dla małego dziecka. Niżej cały komplecik dla większej dziewczynki do lat 10-ciu, ozdobiony mereżkami i groszkami lub kwadracikami haftowanemi atłaskiem.

El. Kotwicz Onichimowska.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć należy, że wyszły z druku spisy książek szkolnych i środków naukowych na rok szkolny 1935/36, dozwolonych do użytku w szkołach średnich ogólnokształcących. Pierwszy zawiera ponadto spis książek pomocniczych dla nauczycieli.

Dla seminarjów nauczycielskich obowiązuje spis z roku ubiegłego. Zakończono opracowanie programów dla tych gimnazjów zawodowych, które mają być uruchomione na jesieni r. b. Programy te, jako projekt, ogłoszono drukiem. Są to programy dla gimnazjum elektrycznego, mechanicznego, krawieckiego i bieliźniarskiego. Po wprowadzeniu ich w życie, będą rozpatrzone i ustalone. Dobiegają do końca prace nad programami dla liceów rolniczych, które mają być uruchomione z początkiem roku szkolnego. Gimnazja zawodowe, o ile będą miały dobre programy, to wielki krok w staraniach o objęcie przez młodzież polską przemysłu krajowego i następnie handlu, co się staje coraz więcej palącą potrzebą.

Wiedzieć musi każda matka, mająca syna czy córkę po maturze, że w roku akademickim 1935/36 będą wolne miejsca na wszystkich wydziałach Politechniki Warszawskiej.

Uczniowie szkół zagranicznych będą mogli być przyjęci tylko wówczas, gdy Ministerjum Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego uzna przedstawione przez nich dowody wykształcenia za równorzędne ze świadectwem dojrzałości szkół polskich.

Egzamin konkursowy będzie się składał na wydziale inżynierji: 1) z algebry i trygonometrji, 2) geometrji, 3) rysunku odręcznego; na wydz. elektrycznym: 1) z algebry, 2) trygonometrji, 3) fizyki; na wydziale chemicznym: 1) z matematyki, 2) fizyki i rysunku aparatów fizycznych, 3) języka obcego (francuskiego lub niemieckiego lub angielskiego); na wydziale architektury: 1) z geometrji, 2) rysunku z natury, 3) rysunku kompozycyjnego (z pamięci).

Wiedzieć każda powinna, która ma synów po maturze, że rok akademicki 1935/36, stosownie do rozporządzenia ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, rozpocznie się w dniu 1 września. — Do dnia 28 września ukończone zostaną egzaminy i zastępujące je kolokwja obowiązujące.

Spisy kandydatów, badanie dokumentów i stopnia przygotowania kandydata do studjów na danym wydziale będą przeprowadzone między 23 września a 5 października.

Wykłady i ćwiczenia rozpoczną się w dniu 7 października. Podział roku akademickiego na semestry, względnie trymestry, jak i przerwy między semestrami oraz terminy egzaminów pozostaną bez zmiany.

Wiedzieć trzeba — aby objaśnić drugich, którzy na czytanie codziennych wiadomości nie mają czasu, że uczennice 6 i 7 oddziału szkół powszechnych obowiązane są uczęszczać na naukę gospodarstwa domowego do ośrodków tego przeszkolenia, które obejmuje po kilka szkół powszechnych.



PISMA NADESŁANE DO REDAKCJI:

„Naokoło Świata", miesięcznik doskonale redagowany, przynoszący wieści z egzotycznych krajów.

„Morze", wydawnictwo L. M. K., miesięcznik, dziś najbardziej zajmujący, bo przepełniony wiadomościami o wszystkiem, co wiąże się z naszem morzem, portami w Gdyni, Gdańsku i Tczewie oraz sprawami, które są przyszłością naszego kraju.

„Wychodźca", dwutygodnik, poświęcony sprawom emigracyjnym, kolonjalnym, turystycznym oraz eksportowym.

„Powściągliwość i Praca", miesięcznik, organ Tow. Św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe, woj. krakowskie.

„Mały Apostoł", ukochane pismo przez matki i dzieci. Setki listów odbiera miesięcznie, setki fotografij i setki podziękowań za doskonałe i zajmujące redagowanie pisma. Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

„Królowa Apostołów", organ Stowarzyszenia Misyjnego Księży Pallotynów. Ilustrowany miesięcznik, bardzo zajmująco redagowany.

Wkłady oszczędnościowe w P. K. O. w m-cu lipcu 1935 r.

W miesiącu lipcu wkłady oszczędnościowe, jak również liczba oszczędzających wykazują dalszy poważny wzrost. Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 12 231.357 zł.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu lipca roku bieżącego P. K. O. wydała 56.149 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 31 lipca 1935 r. ogółem 1.752.255 czynnych książeczek.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani domu w Olszynce. Solić jarzyn ani sałat nie należy długo przed użyciem. Płókać sałaty na koszyczku drucianym, który niewiele kosztuje, a solić nawet lepiej przy stole, aniżeli zawcześnie. Jeżeli Pani Szanownej chodzi o to jakie surówki są najlepsze, to oczywiście najlepsze są: pomidory, wszelkiego gatunku sałaty, ogórki, rzodkiew wszystkich gatunków. Sok z marchwi poleca się bardzo jako przyprawa do surówek. — Aby jarzyna nic nie utraciła ze swej pożywności, należy pilnować, aby była bardzo cienko obierana.

P. Marji Sek... w Izdebnie. Pod przewodnictwem p. dr. Jeżowej odbył się wiec kobiet polskich w Gdańsku jeszcze w mies. kwietniu r. b. Przemówienia rzeczowe i b. gorące świadczyły o tem, że kobiety tam **nie śpią**, że czuwają i że wpełni są uświadomione o trudnościach życia, jakie mają Polacy w Gdańsku i że mają zdecydowaną wolę przetrwania wszystkiego dla wielkiej sprawy polskiej i utrzymania praw jej należnych.

P. M. W. z Zakroczymia. W Płocku powstała właśnie szkoła zawodowa średnia krawiecko-bieliźniarska z wykładami gospodarstwa domowego. Jesteśmy pewni, że niezabraknie jej uczennic. Bardzo tego życzymy i szkole i uczennicom.

Matce... Szanowna Pani, czytałam kiedyś w „Kurjerze Warszawskim", w rubryce „Kronika Kobieca", doskonale redagowanej przez posłankę naszą, p. Zofję Zaleską, artykuł Dr. N. Zandowej, w sprawie neurastenji, która równie dobrze, a raczej na nieszczęście, ogarnia dorosłych, ale często pojawia się i u dzieci. W tej chwili, kiedy czytam list Pani i prośbę o radę co robić z dziewczynką, która wszystko widzi „czarno", przychodzi mi z pomocą notatka, którą z owego artykułu wypisałam, a brzmi tak: „Mało wrażeń, należyte ich dawkowanie, aby mogły dobrze być przetrawione, zapewnienie wypoczynku i otoczenie dziecka wychowawcami łagodnymi, ale stanowczymi". To cytowała jako lekarka, kobieta w zawodzie swym wykształcona i doświadczona. Więc niech Sz. Pani jej rady stosuje. Oczywiście skoro do lekarza daleko, a zwłaszcza nie mogąc szukać rady u psychjatry, trzeba samemu uzbroić się w cierpliwość i we własnej obserwacji dziecka szukać dlań pomocy. Jeśli dziewczynka lubi towarzystwo, starać się dla niej o nie. Zmienić tryb życia, chodzić z nią na spacery. Zwracać umysł do obserwacji przyrody. W modlitwie nie pomijać prośby o zdrowie dla siebie, o słońce i pogodę dla całego świata. Oczywiście nie znając warunków, w jakich dziecko żyje, nie wyczerpujemy objaśnień, życząc, aby te kochane oczki wesoło zaczęły patrzeć na świat i to jaknajprędzej.



KĄCIK DLA DZIECI

ATRAMENTOWY DUSZEK

Było deszczowne szare popołudnie. Rodzice wyszli do miasta, a Zbyszek i Tadzio zostali sami w domu. Obiecali mamusi, że będą bardzo grzeczni, bawili się więc zgodnie razem, gdy nagle Zbyszek powiedział: — Wiesz co Tadziu? A gdybyśmy się zabrali do odrobienia naszych zadań, nie czekając aż mamusia wróci? Toby była dla niej niespodzianka! Wieczór będzie wolny i mamusia opowie nam jaką śliczną bajkę, albo pogra z nami w loteryjkę. — Doskonale! — krzyknął Tadzio — ty masz, Zbyszku, zawsze świetne pomysły! — i zaczął podskakiwać z radości. Powyciągali chłopcy zeszyty i zabrali się do pracy. To znaczy, Zbyszek zasiadł odrazu do pisania, ale Tadzio trochę jeszcze marudził, czegoś tam szukał w swej szufladzie, przeczytał parę stron książki, która mu się nawinęła pod rękę, wyjrzał przez okno czy deszcz jeszcze pada, wreszcie nawoływany kilkakrotnie przez Zbyszka, zabrał się do roboty, pokręciwszy się jeszcze trochę na krześle i zmieniwszy stalówkę, bo stara „nie chciała" mu pisać. Zapanowała cisza, przerywana tylko skrzypieniem pióra po papierze i tykaniem zegara.

Wreszcie Zbyszek podniósł głowę z nad zeszytu i powiedział zadowolony: — Skończyłem! Napracowałem się porządnie, ale rad jestem z mojej pracy. A Tadzio na to: — Aha! A ja też już skończyłem, choć później od ciebie zacząłem. Ty piszesz godzinę! A ja? Zeszyt przed siebie. Szastu prastu i — napisane. — Napisane, a napisane — pokręcił głową Zbyszek. Popatrz, Tadziu, na moje literki i na swoje. Moje równiutkie jak żołnierze w szeregu, a twoje? Każda skacze w inną stronę. Jedna linji nie dochodzi. Ta znów podskakuje, jakby mazura tańczyła, a ta biedusia na jednej nodze ustać nie może, ta znów, przewracając się, buzię szeroko otwarła, zupełnie jakby ratunku wołała, albo inne literki połknąć chciała. — E! Nudny jesteś — obruszył się Tadzio — i twoje literki też nudne! A ja mam fantazję i tak piszę. Zresztą, cóż to litery obchodzi jak wyglądają? Przecież to nie wojsko! Co będziemy robić teraz, już siódma godzina? Za obopólną zgodą chłopcy nastawili gramofon, siedli w kąciku kanapy i, słuchając muzyki, cieszyli się szarą godzinką. Wtem Tadzio zauważył, że coś rusza się na kałamarzu, a po chwili zeskoczył stamtąd maleńki człowieczek, czarno ubrany, ze sterczącemi do góry włoskami, chwycił pióro i zaczął niem wywijać. Zaciekawiony Tadzio trącił Zbyszka, ten jednak skinąwszy głową na znak, że widzi co się dzieje, położył palec na ustach.

W tej chwili czarny człowieczek zaczął wołać: — Cóż to litery w zeszytach, nie wiecie, że przyszedł duszek atramentowy, co przebywa na dnie kałamarza i gdy na pióro wejdzie, to się kleks zdarza na zeszycie, coprawda to tylko roztrzepańcom i nieuważnym to się trafia! Kto ostrożnie pióro macza, temu kleks się nie dostanie — dodał. No, ale wyłaźcie literki, przyszedł wasz dowódca. Przybyłem na przegląd, dwa sprawdzę dziś regimenty: Tadziowy i Zbyszkowy. Hej! litery! Ustawiać się w szeregi! Żwawo! żwawo! Marsz! marsz! pochód! Biegiem! — komenderował, wywijając zawzięcie piórem. Zwrot na lewo. Zwrot na prawo... Dzielne zuchy! — wykrzyknął — nie minie was też nagroda! Jutro wpisze wam w zeszycie pan profesor „bardzo dobrze"!

Chwalił duszek atramentowy Zbyszkowe literki, ale miał słuszność. Wartoby widzieć, jak równo maszerowały. Jak dziarsko wyglądały. Ale zato Tadziowe literki. O Boże! Żżymał się duszek atramentowy, gniewał, krzyczał... ale nic nie pomagało. Mimo największych wysiłków, biedne literki przewracały się, kiwały na boki, potykały, a nawet jak długie przewracały, wpadając innym pod nogi, i tylko tem zwiększając zamieszanie. I jakże prosto iść mogły, gdy: A — ma w jedną stronę nóżki, B — kanciaste oba brzuszki, C — wąziutkie i śpiczaste, S — znów zbytnio ogoniaste i tak każdziutka literka ma minę czupiradełka. Zgnębione wracały literki Tadziowe do zeszytu, w milczeniu, podczas gdy Zbyszkowe szły równo w bojowym ordynku, śpiewając wesołego marsza na cześć swego komendanta.

Umilkł gramofon, zniknął duszek na dnie kałamarza. Chłopcy siedzieli jak oczarowani. Nareszcie Zbyszek szepnął: — widziałeś, Tadziu? — Oj! widziałem i słyszałem wszystko — zawołał Tadzio — biedne moje literki. Tak się za nie wstydziłem i tak mi ich żal było. Biedaczki przeze mnie cierpiały. I już sobie postanowiłem, że będę starannie pisał, by tych biedaczek nie wstydzić więcej. Bo ja umiem ładnie pisać, jak mi się chce... tylko... tylko... — dodał z westchnieniem, niezawsze mi się chce. Ale już teraz mocno postanawiam, a ty mi pomożesz, prawda braciszku! Zbyszek w milczeniu uścisnął go za rękę.

H. Rostafińska-Choynowska.

WESOŁY KĄCIK

Znała Marynia kurki, kaczki, gęsi, nawet indyka groźnego, ale nigdy nie widziała pawia. Toteż, gdy zobaczyła go spacerującego po trawie w ogrodzie zoologicznym, myślała z początku, że to taka duża kura. W tej chwili paw rozłożył ogon.

— Mamusiu! — krzyknęła zachwycona Marysia — mamusiu! kura kwitnie!

ROZMOWA

Co ja ciągle mam roboty z mojemi lalkami.
Wiecznie te same kłopoty:
Julcia suknie plami,
Nosek wtyka wścibska Frania do każdego kąta,
A znów Mizia wszystko tłucze, gdy swój pokój sprząta.
Powiedz miła ma Wandeczko, czy twoje córeczki,
Pijąc — rozlewają mleczko?
Plamią sukieneczki?
Wszystkie kąty wycierają mimo zakaz srogi?
Miast pomagać — przeszkadzają, plącząc się pod nogi?
Ach! z mojemi gorzej jeszcze! Straszna sprawa była!
Wspomnę — przechodzą mnie dreszcze
Przyjaciółko miła!
Lecz mi moja droga mama dobrze poradziła,
Bym córeczkom swoim sama przykładem służyła.
Posłuchałam, choć z początku trochę ciężko było
Tak uważać, by bez przerwy
Być dobrą i miłą.
Dobra była swoją drogą rada mej mateczki,
Za wzór teraz służyć mogą drogie me laleczki.

H. R. Ch.



MOJA GĄSKA

A moja gąseczka
Ma białe pióreczka,
Da mi piórek trochę
Będzie poduszeczka.

H. R. Ch.

POWITANIE

Jak się masz książeczko,
Bardzoś się stęskniła
Za nami przez lato,
Przyjaciółko miła?
Choć dobre wywczasy
I powietrze świeże,
Lecz z chęcią się ciebie
Znowu w rękę bierze.
Miłe się w twych kartkach
Mądrości poszuka,
Bo teraz jak z płatka
Będzie szła nauka.

H. R. Ch.

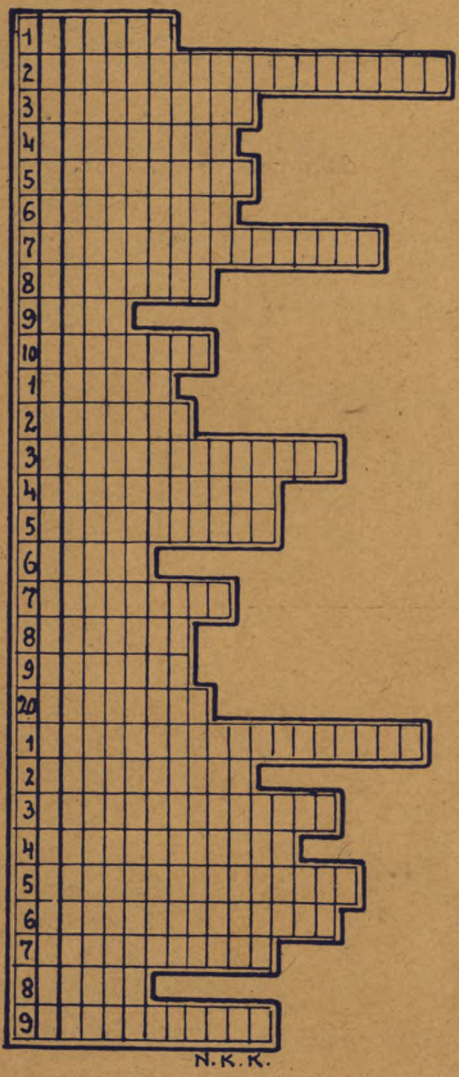
Redaktor: Dr. Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej — Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

LOGOGRYF-EPITAFIUM

(Na 25 rocznicę zgonu E. Orzeszkowej)

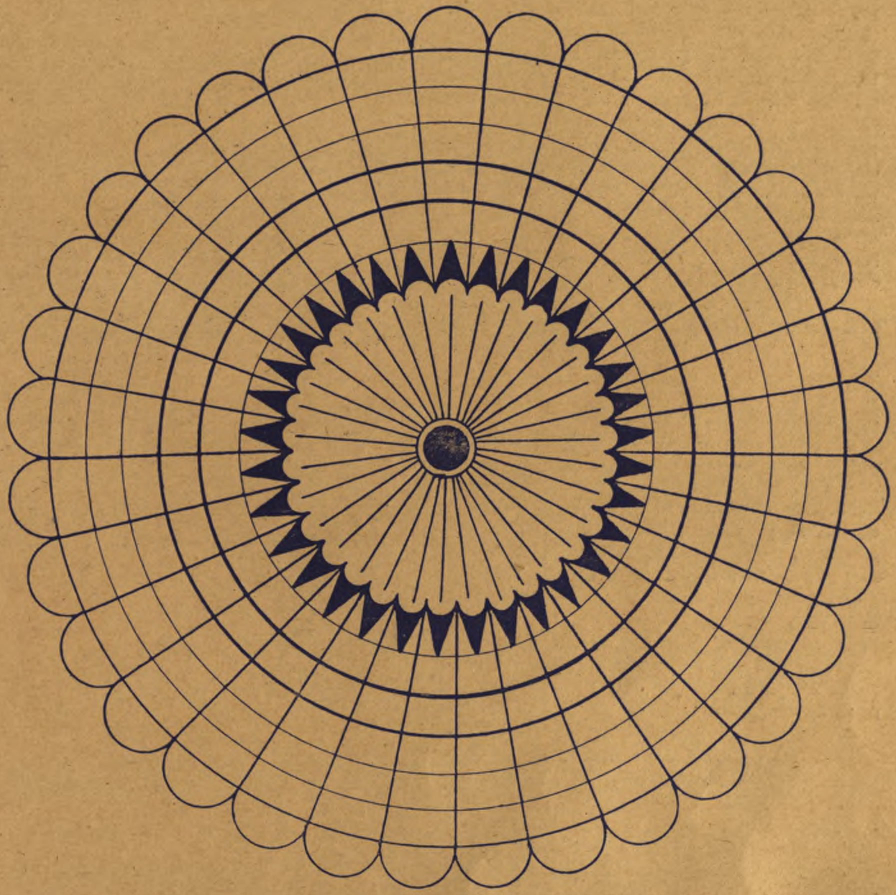


Z podanych sylab ułożyć 29 utworów E. Orzeszkowej i wpisać je w kratki figury. Początkowe litery, czytane pionowo ku dołowi dadzą jedną z pięknych myśli autorki. — Tytuły utworów w rzędach: 8, 11, 12, 17, 23, 26 i 29, napisać wspak (w sylabach wymienione są należycie).

Sylaby: A, a, a, ar, as, ba, be, bra, braz, broch, ce, cet, cho, ci, cia, cmen, cnót, cze, czów, czy, czyk, da, da, de, dma, dnie, do, dro, dzi, e, e, ge, gen, gi, go, gra, i, ka, ka, ki, klat, ko, la, li, li, li, li, liń, liść, ma, mar, mie, na, na, na, na, na, ne, ne, ni, ni, nia, niech, nik, nit, ny, ny, o, pa, pa, pan, pieśń, pła, pom, pusz, re, re, ro, roz, rza, sam, schły, scy, sil, son, sta, sta, staj, sto, sty, su, syl, syn, ta, ta, ta, tar, ti, tral, u, u, us, usz, w, wek, wer, wi, wi, wi, z, z, za, zi, zja, zło, ży.

N. K. Kozłowski (człon. Kl. Sz.).

ZADANIE MOZAIKOWE



Proszę wpisać dośrodkowo 33 sześcioliterowe wyrazy o podanych znaczeniach. Litery w półkolach zewnętrznych i w kratkach pierścienia, oznaczonego grubszemi linjami, czytane w kierunku zegarowym, dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Znaczenia wyrazów: 1. Staranie (opieka). 2. Splot (krąg). 3. Wyrąb lasów (poręba). 4. Plama wilgotna. 5. Część oderwana (uszarpana). 6. Mały konik ukraiński. 7. Krzew ogrodowy o jagodach jadalnych. 8. Nocne ubranie domowe. 9. Sztuka drukarska. 10. Sprostowania błędów drukarskich. 11. Jeden z 7 aniołów, otaczających tron Boga. 12. Samolubstwo (z=ż). 13. Jezioro wewnątrz atolu. 14. Wieś w siedleckiem, pam. z powstania 1831 r. 15. Naczynie do gotowania. 16. Rodz. futrzanej czapki kozackiej. 17. Wielokąt foremny, równoboczny. 18. Popisowy przegląd wojska. 19. Klapy od ubrania (gwar.). 20. Imię żeńskie zdrobn. 21. Zawój turecki na głowę. 22. Cechuję (piętnuję) wspak. 23. Zakonnik reg. św. Pawła. 24. Zuchwalec (arogant). 25. Ruiny jednej ze staroż. stolic Egiptu. 26. Miejsce budowy okrętu. 27. Przywóz towarów z zagranicy. 28. Pisklę kury, wspak. 29. Pani (guwernantka, z franc.). 30. Czynnik przewidywania. 31. Wybryk (wykroczenie). 32. Napomnienie. 33. Nazwa Włoch.

N. K. Kozłowski (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązania powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrodę książkową.**

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU LIPCOWEGO 1935.

Szarady: X. **Wierzbo przydrożna.**
XI. **Kłosie dojrzały.**
XII. **Owocu boski.**

Wężownica: Święto morza.

(Wyrazy: Karo, ośnik, kaganiec, cybuch, Herkules, szpak, Kraków, wiew, wabik, krętogłówka, apokryf, facjatka, akwilon, niewód, dytyramb, busola, ambrazura, armada, amory, yogurt, torero, oreid, dziegieć, ćwiek, kra, antyk).

Nagrodę książkową otrzymuje **p. Maryla Bydoniówna, Jasło.**

M. Sł.

Czytajcie i rozpowszechniajcie pisma katolickie

ZE ŚWIATA RADJA

Szczęście Marcysi

Dziwnie uprzędła się nić życia Marcysi Strzemionko. Prawie taki sam romans życiowy, jaki dawniej Marcysia pożyczała dwa razy w tygodniu w czytelni na rogu. Dziś Marcysia mogłaby z kart minionych przeżyć wysnuć wzruszającą opowieść, ale te słabe sześćdziesięcioletnie oczy, łzawiące i mgłą starości przesłonięte już nawet i czytanie utrudniają, a cóż dopiero pisanie.

Może jednak któregoś dnia zjawi się nareszcie ten nieszczęsny wiarołomca Kajetan Brzytewka. Tęskne marzenia o niechybnym powrocie legendarnego już Kajetanka stanowiły jedyną osłodę starych lat Marcysi. Stara Marcysia żyła beztrosko, czasu jej na plotki nie brakło, boć już na łaskawym była chlebie u swoich służbodawców, więc czasu miała poddostatkiem. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że stara Marcysia w jednym i tym samym domu przesłużyła nie mniej i nie więcej, tylko całe czterdzieści pięć lat, a przed sześciu laty przeszła na „emeryturę" — jak sama o tem mówi — otrzymała małą izdebczynę na poddaszu w dożywociu i tam pędzi wieczór swojego pracowitego życia.

— Ech — mawia zwykle Marcysia — dzisiejsze służonce to już nie takie som, co dawniej bywały, wszyckie latawce, nigdzie miejsca nie zagrzejom, a pyskate, a grymaśne, a wymagalne aż strach.

— Ja menszczyznów znam — zaczynała Marcysia każdą pogawędkę, bo skłonna była do długich rozmówek, chętna w wynurzeniach i przed każdym słuchaczem roztaczała obraz swojego życia, którego głównym bohaterem był Kajetan Brzytewka.

— Już nawet zapowiedzi byli dane, dokumenta wszyckie akuratnie i faktycznie przygotowane, a tu mój Kajtek nagle znikł, jak nieprzymierzajoncy zupa w dziurawym kotle. Znikł, przepadł i ostawił mnie bidnom sierote. Dopiero po jakim czasie przewidziałam się u starego Kożuchószczaka, u chtórnego Kajtuś robił w razurze za frezjera, że jeszcze przed tygodniem ten zdrajca nikczemny z posady się przepowiedział, świadectwo wzion, także samo forse, co mu się tamój należało i ani śladu po nim.

Czekała biedna Marcysia dnie i tygodnie powrotu Kajetana. Mijały nielitościwie miesiące i lata, a o Kajetanie ani słychu. Znikł, przepadł, jakby go ziemia pochłonęła, a biedna Marcysia łzy roni, żali się przed wszystkimi i płacze za Kajtkiem, lecz wiarołomcy kochać nie przestaje.

Wiosną tęskniła Marcysia i rozpamiętywała utracone szczęście, latem rozpacz ją brała okrutna, jesienią wspominała zdrajcę ze złością i gniewem nieprzejednanym, a zimą roiła tysiączne plany zemsty na niewiernym kochanku.

W takiem zróżniczkowaniu stanu duchowego na cztery pory roku biegły lata Marcysine coraz szybciej, coraz prędzej. Zdziwiła się sczasem Marcysia, gdy zamiast dotychczasowego „dzień dobry, pannie Marcysi" rzeźnik, piekarz, czy inni okoliczni znajomi poczęli do niej mówić „dzień dobry, pani Strzemionko". Marcysia robiła się wtedy strasznie srogą i każdemu ostro i hardo odpowiadała:

— Żadna pani Strzemionko nijak nie jestem, jeno panna, panna Marcysia jestem i pannom Marcysiom ostane i zapamiętajcie to sobie jeden z drugiem!

A że cuda na świecie przytrafiają się i ludziom maluczkim, przeto i nasza Marcysia na stare lata cudu się doczekała. Przez długie lata trzymała razem z dozorcą Janem, ze starym Pietrzakiem, co w suterenie zakład szewski prowadzi i z maglarką Katarzyną ćwiartkę loterji klasowej i nareszcie doczekała się wygranej w sumie aż 2000 złotych na swoją część. Marcysia wygraną loteryjną wielce się uradowała, a że to działo się porą wiosenną, to i tęsknie biadać poczęła, że ot taki szmat pieniędzy posiada, sama jest jak palec na tym Bożym świecie, a z Kajetanem toby już napewno lepiej uradziła, co zrobić z wygraną gotowizną.

Za poradą swoich dawnych służbodawców kupiła Marcysia radjo trzylampowe i odtąd od rana do nocy starowinka siedziała w swej izdebce na poddaszu, zasłuchana w głośnik radjowy. Czasem i zdrzemnęła się biedulka i tak całą noc nawet przesypiała w fotelu przy swem kochanem „radyjo".

Pewnego razu Marcysia usiadła przy stoliku przed małem okienkiem mansardowej izdebki i drżącą ręką poczęła mozolnie kreślić litery na arkuszu papieru listowego. Po długich mozołach i trudach wymalowała ot taki list do Dyrekcji Polskiego Radja:

„Prześwietne Radyjo, jak że jezdem goronca amadorka i cięgiem ino słuchajonca radyjo takżesamo powiem, że byłabych więncy szczenśliwa, o wiele mój Kaietan by się znalazł. A z tem Kajetanem to jest tak — w roku Pańskiem 1895 opuścił mnie zdradziecko Kajetan Brzytewko fachowy fryzjer, co go pokochałam mojom pierwszom dziewczyńskom miłościom. Faktycznie błagam Prześwietne Radyjo, szukajcie tego zdrajce wiarołomnego co mnie za sierotę zrobił, może na moje stare lata jeszcze zobacze tego Kajetana, com go tak kochała i nijak zapomnieć nie mogła. Aby Radyjo dokumentnie poszukało, jeszcze powiem, że to chłop był postawny wysoki, brunet, a przedziałkie ma na lewe ucho, pachniał zawsze olejkiem różanem, a krawat miał czerwony w żółte kropki. Za szukanie masowe zapłace co się przynależy, bo nie jestem żadna taka sobie, jeno Marcysia Strzemionko, emerentowana panna służonca".

Od chwili wysłania listu, Marcysia tkwiła przy głośniku radjowym i żadna ludzka siła nie zdołałaby jej od radja oderwać. Minął dzień, a Marcysia już z samego ranka usiadła przy radjo i z drzeniem w sercu nasłuchiwać poczęła głosów, wydobywających się z głośnika radjowego. Skończyła się gimnastyka poranna, minęły płyty gramofonowe, przeszła chwilka rolnicza, pań domu i inne, odbyły się koncerty popołudniowe, odczytano dziennik wieczorny i program na dzień następny, aż speaker przystąpił do odczytania i załatwienia skrzynki pocztowej. Mijały długie, bezkresne minuty wyczekiwania, lecz o Marcysi Strzemionko i jej wielkiej tragedji życiowej nie padło ani jedno słowo. Dopiero późnym wieczorem, podczas antraktu, transmitowanego z Filharmonji koncertu, speaker temi słowami odezwał się do radjosłuchaczy:

„Szanowne radjosłuchaczki i szanowni radjosłuchacze. W życiu spotyka się tragizm rozpaczy z radością i weselem, zdrada z wiernością potężną, płacz z beztroskim śmiechem. Oto przed czterdziestu laty młody fryzjerczyk uciekł swej narzeczonej w przeddzień ślubu, a dzisiaj zgrzybiała staruszka, która mimo upływu czterech dziesiątków lat nie zapomniała swego najdroższego, siedzi w małej izdebce na poddaszu przy radjo i czeka, wierząc niezmiennie, że jeszcze powróci do niej jej ukochany Kajetan Brzytewka, narzeczony sprzed lat czterdziestu"...

Marcjanna podczas słów speakera trwała w radosnym bezruchu, oblicze jej zajaśniało szczęściem, a sercem ogarnęła nieprzemożna wiara w powrót Kajetanka. Minęło dni parę, a do drzwi izdebki na poddaszu zapukał staruszek nędznie w łachmany ubrany. Historji tej koniec krótki: Kajetan Brzytewka w schronisku dla bezdomnych usłyszał przez radjo słowa speakera o prośbie Marcysi Strzemionko i po latach czterdziestu radjo przywiodło skruszonego grzesznika do opuszczonej przed laty niewiasty, dziś już zgrzybiałej staruszki.

AMERYKA SŁUCHA EUROPY

John Royal, główny dyrektor programowy N. B. C., podróżuje od szeregu tygodni na samolocie po całej Europie: w Rzymie przyjęty był przez Papieża, z Wezuwjusza nadał transmisję do Ameryki, w Genewie Liga Narodów przyjmowała go bankietem, w Wiedniu, gdzie bawił przez 3 dni, podejmowany był przez prezydenta i przez ministra handlu. Z Wiednia udał się do Salzburga, poczem przez Pragę do Warszawy, Moskwy i spowrotem przez Berlin, Paryż, Londyn, aby na statku Normandie, po 6-tygodniowej podróży, znaleźć się w New Yorku.

W czasie pobytu w Warszawie p. J. F. Royal złożył wizytę Naczelnemu Dyrektorowi Polskiego Radja, z którym odbył szereg rozmów na temat możliwości transmitowania niektórych audycyj z Polski do Ameryki.

— W Ameryce spotyka nas zawsze zarzut — mówił prezes Royal — że za mało uwzględniamy stronę kulturalno-oświatową, i że w tym względzie dajemy się wyprzedzić Europie; w czasie podróży zapoznałem się bliżej z europejskiemi programami. Muszę jednak powiedzieć, że zarzut jest niesłuszny, gdyż procentowo przeznaczamy tyleż czasu na audycje kształcące, co rozgłośnie na kontynencie. Ale jedna rzecz nie ulega żadnej wątpliwości, że nasi słuchacze tak samo nie lubią suchych wykładów, jak i tutejsi. Dlatego musimy podawać tematy poważne w formie jak najbardziej interesującej.

Tu widzę sedno sprawy. Zakupiłem w Europie szereg audycyj, a w przyszłości będziemy jeszcze znacznie więcej stąd transmitowali, przyczem uwzględniam przedewszystkiem tematy kulturalno-oświatowe. Po transmisji z Wezuwjusza będą nadane audycje: ze schroniska św. Bernarda w Alpach, z Monte Rosa, gdzie się znajduje najwyżej położona stacja krótkofalowa świata; będziemy stamtąd obserwować i opisywać najbliższe zaćmienie księżyca. Z Włoch weźmiemy wartościowe koncerty, podobnie z Wiednia i z Salzburga.

Jeśli chodzi o Polskę, to pragnę przy pomocy Polskiego Radja zapoznać radjosłuchaczy amerykańskich z polskim folklorem. Wyobrażam sobie te transmisje, jako krótkie kilkunastominutowe audycje, w których muzyka ludowa byłaby objaśniana zwięzłym tekstem speakera, wygłoszonym w języku angielskim. Speaker niekoniecznie musi mówić wzorowo po angielsku. Niezbyt czysty akcent, a czasami i drobna omyłka, dodaje takiej audycji pewnego wdzięku i uroku. Dalej chcemy również dać Polakom amerykańskim transmisję z któregoś z pięknych kościołów polskich poza Częstochową. A więc może Kraków albo Ostra Brama. Problem tego typu reportaży z jednej półkuli na drugą byłby łatwiejszy, gdyby Polska posiadała własną stację krótkofalową.